

VaritArt

pismo kulturalno-literackie
nr 01/2019 (42)



www.wbp.olsztyn.pl

dobro



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Humanitaryzm w świecie przyrody

Człowiek jest częścią przyrody. A może to przyroda jest częścią człowieka? Przyroda jest rozleglejsza od ludzkości? To nic, przecież rozważamy o niej w naszych ludzkich głowach. Czy zatem przyroda może być humanitarna? To znaczy jaka? Ludzka? Stosująca ludzkie prawa i standardy akceptowalnego postępowania?

Człowiek jest pępkiem świata... w coraz mniejszym stopniu. Ta decentralizacja odbywa się w jakimś stopniu poprzez coraz większe dostrzeganie przyrody w człowieku i człowieka w przyrodzie. Na świat patrzymy przez pryzmat naszych dążeń, wartości czy wyobrażeń. I widzimy coraz większą świadomość wspólnoty, szerzej obejmującej kolejne elementy. Rozszerzający się humanizm oraz humanitaryzm.

Na początku byliśmy w centrum świata. Świat był geocentryczny, bo my żyjemy na Ziemi. Więc Ziemia korzystała i była w środku. Kopernikańska teoria heliocentryczna nas zdezonizowała (i Ziemię). Ciężko było to przelknąć. Potem części wyjątkowości pozbawiła nas Darwinowska teoria ewolucji – jeszcze bardziej staliśmy się częścią przyrody. A teraz mówimy o humanitaryzmie w przyrodzie? Znowu coś naszego, wyjątkowego ulega uwspólnianiu, dzielimy się sobą ze światem. Kolejna detronizacja? A może rozszerzanie się naszego świata?

Najpierw był humanizm, później humanitaryzm. Humanizm narodził się gdzieś na przełomie XV i XVI wieku w epoce odrodzenia (renesansie) z jego głównymi założeniami racjonalnego myślenia, troski o potrzeby, szczęście, godność i swobodny rozwój człowieka w jego środowisku społecznym i naturalnym. Humanizm postawił człowieka w roli gospodarza środowiska naturalnego, wyklucza egoizm i postuluje braterstwo i solidarność. Najpierw między mężczyznami, potem także z uwzględnieniem dzieci i kobiet, a także innych mniejszości spośród bogatej różnorodności *Homo sapiens*. W humanizmie człowiek (swoją, ale nie obcy) jest najwyższą wartością i źródłem wszystkich innych wartości. Taki antropocentryzm (w opozycji do teocentryzmu).

Czy to, co dobre dla człowieka, jest dobre dla biosfery i życia na Ziemi? Dla innych gatunków? Nad tym się coraz intensywniej zastanawiamy. Antropogeniczne zmiany klimatu... i przeciw nam się obracają. Więc może humanitaryzm wobec przyrody jest jednocześnie troską o człowieka i jego przyszłość? Pojęcie dobra i zła jest w przyrodzie bardzo względne.

Humanitaryzm narodził się w XIX wieku we Francji, propagującej hasła egalitaryzmu, braterstwa i ciągłego doskonalenia się rodzaju ludzkiego. A może to doskonalenie poprzez ewolucję dotyczy całej Gai, biosfery i nasz humanizm płynie ku sztucznej inteligencji? Nas już nie będzie, będą roboty, a dalej będzie humanizm i ciągłe doskonalenie się... „rodzaju ludzkiego”?

Równość, braterstwo, doskonalenie się, rozwój, wyrozumiałość, życzliwość i szacunek dla człowieka... i zwierząt. Oszczędzanie cierpienia. Eksterioryzacja (poszerzanie) i moralne uczulanie przyrody, kolejna emancypacja. Do kregu swoich rodzin wliczamy i kotki, i pieski, i inne „pupile”, które traktujemy jako członków własnego stada. I na nich przenosimy prawa nam przynależne, np. humanitaryzm. Swoją i obcy. Obcego nie dotyczą wszystkie nasze prawa. Bo my jesteśmy w centrum. Najpierw emancypacja niewolników i ras, potem dzieci i teraz kobiet. Oraz innych mniejszości. I zwierząt. A potem roślin?

Humanizm to wiara w potęgę rozumu ludzkiego, szacunek dla człowieka i troska o jego dobro. Jak odpowiedzieć na pytanie „Do czego potrzebne są kleszcze na świecie?”, skoro rozszerzamy znaczenie humanizmu na całą przyrodę i do niej podchodzimy humanitarnie? Czym więc są pasożyty krwiopijne roznoszące liczne i groźne choroby (wirusowe i bakteryjne)? Swoi czy obcy? Być wobec nich wyrozumiałym, życzliwym?

Braterskim?



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 01/2019:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Humanitaryzm w świecie przyrody

04 WYWIAD

Olsztyn ma pisarza miejskiego: ARKADIUSZ ŁUBA rozmawia z MARCELEM KRUEGEREM o jego pisarskich zamierzeniach

06 PROZA

MARCEL KRUEGER: Apatia kolejek miejskich

08 POEZJA

ANNA MATYSIAK: Rotlippenmuschel

11 POEZJA

PIOTR GWIAZDA: Wiersze

12 PROZA

EUGENIA DOBROVA: Mostowagony

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

EWA POHLKE: Sztukoterapia

16 GALERIA

PRACE DZIECI z Pałacu Młodzieży w Olsztynie – pracownia Ewy Pohlke

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

URSZULA MADEJA, opracowanie IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Domek Jasia i Małgosi

20 INICJATYWA

ELŻBIETA MIERZYŃSKA: Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka

22 INICJATYWA

WERONIKA CHWORAK: Z drogi, ludzie, Pogotowie Językowe nadjeżdża!

23 FELIETON

MONIKA NADOLNA: Pomaganie jest modne

24 HISTORIA

ANNA RAU: Wielki znany nieznanym

27 SŁOWO

WERONIKA CHWORAK: Humanitaryzm – cztery znaczenia, jedno słowo

28 TEATR

ANNA KAJKO: Bawimy się w teatr

29 FELIETON

Michał Krawiel: Galeria Dobro

30 FELIETON

Anita Romulewicz: Dziecko Leonarda

Dobry bądź dla zwierząt... to fragment piosenki znanego zespołu. Piosenka pełna jest dobrych rad, jak być prawym, dobrym i... Sztuka często sięga do pojęcia humanitaryzmu, zastanawia się nad kondycją człowieka i jego stosunkiem do siebie, drugiego człowieka i do świata. Pierwszy tegoroczny numer naszego pisma poświęciliśmy właśnie temu zagadnieniu. Z Pogotowiem Językowym śpieszy i o znaczeniu słowa humanitaryzm pisze Weronika Chworak. O zbawiennej roli arteterapii zapewnia Ewa Pohlke. Wielkiego filantropa z Warmii, Marcina Kromera, wspomina Anna Rau. Nad tym, jak potraktować krwiopijne kleszcze w kontekście humanitaryzmu zastanawia się Stanisław Czachorowski. W to, że pomaganie jest cool, szczególnie kiedy nie robimy tego na pokaz, chce wierzyć Monika Nadolna. W numerze także *Galeria Dobro* (Michał Krawiel), *Dziecko Leonarda* (Anita Romulewicz), Chrystus na okładce (Katarzyna Łyszkowska) i prace dzieci z Pałacu Młodzieży w Olsztynie, bo dzieciństwo i dzieci to przecież nasze dobro.

Uważajcie, zło nie śpi,
Wasza Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 01/2019 (42)

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska, Urszula Maciąg,
Anna Rau, Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska,
okładka tył: Katarzyna Łyszkowska.
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współdziałaniu finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



ARKADIUSZ ŁUBA rozmawia z MARCELEM KRUEGEREM o jego pisarskich zamierzeniach

Olsztyn ma pisarza miejskiego

Od niepamiętnych czasów ludzie starają się zatrzymać historię miast, krajów oraz regionów i piszą kroniki. Kronikę miasta Allenstein, jak ówczesnie nazywał się Olsztyn, jako pierwszy zaczął spisywać Andreas Petrus Grunenberg w 1802 r. Marcel Krueger jest pierwszym powojennym pisarzem miejskim Olsztyna. Ten mieszkający w Irlandii Niemiec jeszcze do września będzie opisywał nasze miasto na swoim blogu: www.pisarz-miejski-olsztyn.com. Ale w planach ma o wiele więcej.

Arkadiusz Łuba: Funkcja pisarza miejskiego w Olsztynie w ramach stypendium Niemieckiego Forum Kultury Europy Wschodniej. Dlaczego zdecydował się Pan o nią ubiegać?

Marcel Krueger: Łączą mnie z Olsztynem związki rodzinne, które chciałem zgłębić. Moja babka pochodzi z Łęgajn, to jakieś siedem, osiem kilometrów stąd. Dwa lata temu ukazała się o niej moja książka pt. *Babushka's Journey*, a w tym roku wydano jej niemieckie tłumaczenie. Babcia została wzięta do niewoli przez Armię Czerwoną w 1945 r. i spędziła cztery lata w obozie pracy w Związku Radzieckim. Umarta niestety dziesięć lat temu, a ja ruszyłem śladami jej historii. Najpierw przyjechałem tu do Olsztyna, a stąd dalej pociągiem w kierunku Uralu, aż po Swerdlowsk. Czyli znałem już te związki, kiedy natrafiłem na ogłoszenie o stypendium. Planowałem kolejną książkę, tym razem o ciotecznym dziadku, bracie babci. Zawsze myślałem, że pochodzę z niemieckiej rodziny, ale mój cioteczny dziadek był polskim szpiegiem i podczas drugiej wojny światowej dostarczał informacje o Wehrmachcie, za co został stracony w roku 1942 przez nazistów w więzieniu w Brandenburgii. Projekt tej książki przedstawiłem Niemieckiemu Forum Kultury, który go zaakceptował.

Był więc konkretny projekt, nad którym chciał pan pracować podczas stypendium. Ale czy wiedział Pan, czego spodziewać się na miejscu? Na ile te oczekiwania zostały spełnione?

One wręcz zostały przekroczone! Wiedziałem, że częścią stypendium jest współpraca kulturalna tu na miejscu. Jednym ze współorganizatorów jest Wspólnota Kulturowa „Borussia”, którą znam z kwerendy do mojej wspomnianej wyżej książki

o babci. Nie myślałem jednak, że zostaną tak serdecznie przyjęty – konferencja prasowa, wizyty w instytucjach (m.in. w Miejskiej i Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii) – wszyscy interesują się mną i pracą pisarza miejskiego, chcą pokazać mi to, czym się zajmują, jeśli chodzi o kulturę. Myślałem, że będę się musiał bardziej starać, zabiegać o ludzi, więcej szukać, a oni sami szukają kontaktu ze mną, więc jak dotychczas wszystko dobrze się rozwija.

Nic dziwnego, to przecież ważna funkcja, dzięki której może Pan reklamować miasto. Jednakże Olsztyn nie leży w centrum zainteresowania Europy. Pan dzieli mieszkanie między Irlandią i nadreńską Kolonią. Czy tam – w tym odległym, wielkim świecie – ktoś w ogóle interesuje się niewielkim miasteczkiem w północno-wschodniej Polsce?

Nie odbieram Olsztyna jako małego, odizolowanego od świata miasteczka. Uważam, że to nowoczesne i zurbanizowane miasto. To już czwarty raz, kiedy je odwiedzam. Pierwszy raz byłem tu przed ośmiu laty i od tamtego czasu zauważam, jak to miasto się zmieniło, także w sensie infrastrukturalnym. Nie mam uczucia, jakbym z centrum Europy przybył na dziki wschód. Uważam Olsztyn za przyjemne do życia miasto. Oczywiście posiada ono inną strukturę niżli na przykład Berlin albo Kolonia, ale Dundalk, tam gdzie mieszkam w Irlandii, jest też stolicą regionu i struktury ma podobne do tych olsztyńskich. Kultura jest w tamtejszym hrabstwie zcentralizowana, tak samo jak w przypadku Warmii i Mazur. Jestem pozytywnie zaskoczony, jak łatwo mogę się tu poruszać, szukać potrzebnych mi informacji i udawać się do poszczególnych instytucji itd. Nie mam wrażenia, że muszę tu rezygnować z czegoś, co miałem do tej pory. Nie ma tu struktur, które nie istniałyby w Niemczech czy w Irlandii.

W oczach moich przyjaciół, a także w oczach reszty Polski, Olsztyn to kulturalna i infrastrukturalna prowincja. Przewodnicząca wspomnianej już Wspólnoty Kulturowej „Borussia”, Kornelia Kurowska, podczas konferencji prasowej z okazji objęcia przez Pana stanowiska pisarza miejskiego wyraziła nadzieję, że pokaże Pan jej miasto z nowej perspektywy. To proste, wszak jest Pan tu nowy. Kiedy rozmawiamy pod koniec maja, mija właśnie miesiąc

Pańskiego pięciomiesięcznego pobytu: Co z tego miasta i w jaki sposób chciałby Pan ukazać, czy ma już Pan jakieś pomysły?

Po pierwsze – historia, która wynika z przeszłości mojej rodziny, choć nie czuję związku emocjonalnego z Olsztynem, gdyż mieszkam za granicą. Oznacza to, że za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, wszystko jest dla mnie nowe od początku, podobnie jak historia mojego ciotecznego dziadka, którą odkryłem dopiero przy okazji opracowywania historii mojej babci. Wciąż odkrywam nowe rzeczy, mimo że coś już przedtem łączyło mnie z regionem. Wszystko to jest bardzo zajmujące i o wszystkim tym chcę dokładnie tak opowiedzieć na moim blogu, by jego czytelnicy wraz ze mną uczestniczyli w tych odkryciach.

Interesuje mnie również urbanistyka, architektura miasta. Także w tej kwestii Olsztyn jawi się bardzo ciekawie, gdyż nie ma klasycznej historii miast powojennych. Nie wszystko zostało tu zniszczone w roku 1945, co oznacza, że komuniści nie musieli wszystkiego równać z ziemią i zalewać betonem. Wiele budynków można było zaadaptować. W przeciwieństwie do takich miast jak Szczecin czy Warszawa, Olsztyn jest interesujący także poprzez swoją architekturę, również tę współczesną, oraz przez to, jak ją traktuje aktualny dyskurs miejski.

I może jeszcze trzeci pomysł: chciałbym zrobić cykl wywiadów z ludźmi, których historie są dla mnie interesujące. Poznałem np. młodą germanistkę, która studiuje na drugim roku na tutejszym uniwersytecie. Latem jeździ ona do Frankfurtu nad Menem, by tam sprzątać. Takie historie mogą zainteresować także niemieckich czytelników, tak więc chcę portretować rzeczywistość ludzi tu mieszkających.

Prezydent miasta powiedział, że Polacy i Niemcy mają wiele wspólnych momentów, które „na nowo można odkryć i przeżyć”. Jakie „wspólne momenty” w mieście chciałby Pan na nowo odkryć i przeżyć?

o trudne pytanie, gdyż jestem już outsiderem, który przyjechał tu nawet nie z Niemiec, a z Irlandii. Oznacza to, że patrzę z dystansem na Niemcy, a tym samym także na Polskę. Być może jest to właśnie tym, co mogę dla siebie osobiście odkryć. Podobieństwa leżą jak na dłoni, np. w Olsztynie warzą wspaniałe piwo. Tutejsza historia warzelnictwa nie interesuje mnie tylko jako konsumenta, ale także z punktu widzenia historycznego. Wszak piwo warzyli tu już Niemcy, a trzy regionalne browary wspaniałe kontynuują tę tradycję. W tym dopatruję się podobieństw, a nie w sztucznych konstrukcjach historycznych; a więc bardziej interesuje mnie życie ludzi związanych z tym miejscem, którzy lubią te same rzeczy i interesują się tymi samymi sprawami, co przed wiekami, tak samo jak ten wspaniały

krajobraz rozciągający się tuż przed bramami miasta, który bliski był sercu zarówno Niemców, jak i teraz Polaków.

Brzmi to bardzo interesująco. Myślę, że na koniec Pana pobytu w Olsztynie powinniśmy jeszcze raz porozmawiać. Dziękuję!

Tak właśnie zrobimy! Dziękuję!



Fot. Arkadiusz Łuba, Olsztyn 2019
Marcel Krueger (pisarz miejski) przed Starym Ratuszem (dziś Wojewódzka Biblioteka Publiczna)

MARCEL KRUEGER

Trübsal einer Straßenbahn

Für Joseph Roth

Starker, anhaltender Regen. Man könnte mich fast beschuldigen, das Wetter aus Irland mitgebracht zu haben. Seit ich in Allenstein/Olsztyn angekommen bin, ist es entweder kalt und grau oder schwül und regnerisch. Heute ist es letzteres, und ich kann keinerlei Motivation finden, irgend etwas zu arbeiten. Den ganzen Morgen höre ich die Straßenbahnen klingeln, wenn sie die Haltestelle gegenüber dem Hohen Tor verlassen, also gebe ich endlich nach. Ich fahre mit der Straßenbahn.

Ich gehe durch das Stadttor und finde passenderweise einige alte Straßenbahnschienen, die hier in das Pflaster eingebettet sind. Bis 1965 fuhren die Stadtbahnen durch das Tor, auf ihrem Weg zur Endhaltestelle am Langen See/Jezioro Długie. Allenstein/Olsztyn hatte seit 1907 eine Straßenbahn, aber wie in vielen Orten in Europa, egal auf welcher Seite des Eisernen Vorhangs, hat man sich dann dafür entschieden, dass Autos und Busse, die für immer Brennstoffe aus Dinosaurierknochen verbrennen werden, das Verkehrsmittel der Zukunft sind und die Schienen sonst überall in der Stadt herausgerissen.

Eine neue Straßenbahn kommt. Die neuen Straßenbahnen sind modern und grün und grau und fahren seit 2015 wieder. Ein 24-Stunden-Ticket kostet 10 Zloty, und ich halte das für einen guten Preis für ein Beförderungsmittel, das keinen fossilen Brennstoff benutzt. Die neuen Straßenbahnen verbinden die Altstadt mit dem Vorort Jaroty, Jaroty mit der Universität, die Universität mit dem Hauptbahnhof.

Meine Straßenbahn ist nie leer. Wenn ich tagsüber fahre, sitzt und steht hier immer eine gute Mischung aus jungen Menschen, nicht so jungen, nicht so alten, alten. Gegenüber von mir sitzt ein Mann im blauen Jogginganzug und mit Kopfhörern, auf dem Schoß eine leere blaue Plastiktasche von IKEA, und ich kann mir schon denken wo er hin will. Aber zuerst zuckelt meine Straßenbahn den Berg am alten wilhelminischen Wasserturm aus rotem Backstein aus dem Jahr 1899 hoch, in dem heute das Observatorium untergebracht ist. Dann biegt die Straßenbahn in die Obiegowa,

einer der Hauptverkehrsstraßen von Allenstein/Olsztyn. Ein paar Haltestellen weiter, und ich bin mir sicher, wohin der junge Mann will. Ein Ort, an dem der geneigte Straßenbahnfahrer all das findet, was er braucht und vielleicht noch ein bisschen mehr, ein kommerzielles Wunderland. Dominiert von französischen und deutschen Franchises und Markennamen wie Auchan, OBI, Media Markt und Rossmann, ist die Gegend um das Galleria Warمیńska Einkaufszentrum, die Allensteiner/Olsztynier Inkarnation aller langweiligen und hässlichen globalen Konsumzentren, und ich bin froh, als die Straßenbahn weiter fährt. Der junge Mann geht Richtung OBI.

Meine Straßenbahn fährt durch die neuen und alten Vororte, und es scheint, dass Allenstein/Olsztyn nur auf den Hügeln wächst und das Grün des Waldes in den Bachtälern weiter bestehen darf. Dann steigt jemand ein, den ich für einen Obdachlosen halte. Seine zu große Hose und sein Hemd sind voller Schmutzspritzer, seine Hände bedeckt von ausgebleichten Tätowierungen. Als er vorbeigeht, halten die beiden älteren Damen neben mir hörbar den Atem an. Ich frage mich warum, und dann trifft der Gestank von altem und eingetrocknetem Urin auch meine Nase. Ich frage mich, ob der Mann seinen eigenen Geruch wahrnimmt. Er wirkt nicht betrunken oder verwirrt, sondern einfach wie jemand, der seine Kleidung schon sehr lange nicht mehr hat waschen können. Aber bevor ich weiter über ihn nachdenken kann, verlässt er die Straßenbahn, zur sichtbaren Erleichterung der beiden Damen.

Wie alle Straßenbahnen endet auch meine. Als wir in Kanka ankommen, der Endhaltestelle der Linien, denke ich mir, dass die Haltestelle der perfekte Ort für eine Berliner Wurstbude wäre, die Currywurst verkauft und Pommes und Bier in 0,3-Liter-Flaschen. Es ist Zeit fürs Mittagessen. Einen Moment denke ich darüber nach, mir im Żabka auf der anderen Straßenseite einen Hot Dog zu kaufen, aber dann fällt mir ein, dass sie am Hauptbahnhof hervorragende Zapiekanki verkaufen. Ein leerer Magen ist ein genauso guter Grund mit der Straßenbahn zu fahren wie jeder andere, also steige ich wieder in die Linie 2.

MARCEL KRUEGER*

Apatia kolejek miejskich przełożyła BARBARA SAPAŁA

Dla Josepha Rotha

Deszcz. Silny, nieustający. Właściwie można by mnie oskarżyć o to, że pogodę przywiozłem ze sobą z Irlandii. Od kiedy jestem w Olsztynie, jest tu albo zimno i szaro, albo parno i deszczowo. Dziś mamy ten drugi wariant. A ja w żaden sposób nie potrafię zmotywować się do jakiegokolwiek pracy. Przez cały poranek słyszę dzwonek tramwaju, który oznajmia odjazd z przystanku naprzeciwko Wysokiej Bramy, więc w końcu poddaję się. Pojadę tramwajem.

Przechodzę przez bramę Starego Miasta. A tam pasujące do mojego planu znalezi-sko – stare tory tramwajowe wtopione w bruk. Do 1965 roku przejeżdżała tędy kolejka miejska, podążając do stacji końcowej nad Jezioro Długim. Tramwaje w Olsztynie były od roku 1907, ale i tu, podobnie jak w wielu innych miejscowościach po obu stronach żelaznej kurtyny, zdecydowano, że środkami transportu przyszłości będą żywiące się paliwami z kości dinozaurów samochody i autobusy. I z ulic całego miasta wyrwano szyny tramwajowe.

Nadjeżdża nowy tramwaj. Te nowe są nowoczesne i zielone, i szare. I kursują po Olsztynie od 2015 roku. Bilet dobowy kosztuje 10 złotych i wydaje mi się, że jak na środek transportu, który nie potrzebuje paliw kopalnianych, jest to bardzo dobra cena. Nowe tramwaje łączą starówkę z Jarotami, Jaroty z uniwersytetem, a uniwersytet z dworcem.

Mój tramwaj nigdy nie pustoszeje. Za dnia wypełnia go stojąca i siedząca gromada młodych, już nie tak młodych, jeszcze nie tak starych i starych ludzi. Naprzeciwko mnie miejsce zajął mężczyzna w niebieskich dresach ze słuchawkami w uszach. Na kolanach trzyma pustą, niebieską torbę z IKEI. Chyba wiem, dokąd jedzie. Ale najpierw mój wagon wspina się na wzniesienie, na którym stoi zbudowana jeszcze za Wilhelma II wieża ciśnień z 1899 roku. Dziś mieści się tam obserwatorium. Potem tramwaj skręca

w Obiegową, jedną z głównych arterii Olsztyna. Jeszcze kilka przystanków i już mam pewność co do celu podróży młodego mężczyzny w niebieskim dresie. To miejsce, w którym wielbiciel tramwajów znajdzie wszystko, czego mu trzeba, a nawet nieco więcej. To komercyjna kraina cudów. Okolice Galerii Warmińskiej i ona sama to, zdominowane przez francuskie i niemieckie firmy franczyzowe i takie marki jak Auchan, OBI, Media Markt i Rossmann, olsztyńskie wcielenie nudnych i brzydkich centrów konsumenckich, jakich wiele na całym świecie. Cieszę się, kiedy ruszamy w dalszą trasę. Młody mężczyzna podąży w kierunku OBI.

Mój tramwaj przejeżdża przez stare i nowe przedmieścia, i trudno oprzeć się wrażeniu, że Olsztyn rośnie jedynie na pagórkach, pozostawiając przestrzenie pomiędzy nimi zieleni lasów. Do wagonu wsiada człowiek, którego biorę za bezdomnego. Jego za duże spodnie i koszula usiane są plamami, ręce pokrywają wyblakłe tatuaże. Kiedy przechodzi obok, słyszę, jak dwie starsze panie siedzące koło mnie wstrzymują oddech. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, dlaczego?, kiedy uderzyła mnie woń starego moczu. Zastanawiam się, czy człowiek ten nie czuje własnego zapachu? Nie sprawia wrażenia pijanego czy szalonego. Wygląda po prostu jak ktoś, kto już bardzo dawno nie prał swoich ubrań. Ale zanim myśli o nim zajmą mnie na dobre, pasażer opuszcza tramwaj, a obie panie oddychają z wyraźną ulgą.

Jak wszystkie tramwaje, tak i mój kończy bieg. Kiedy docieramy do stacji końcowej na Kanta, myślę sobie, że to byłoby idealne miejsce na prawdziwą berlińską budkę z grillowanymi kiełbaskami, frytkami i piwem w butelkach o pojemności 0,3 litra. Czas na obiad. Przez chwilę igrzm z myślą, żeby w Żabce po drugiej stronie ulicy kupić sobie hot-doga, ale potem przypominam sobie, że przecież przy Dworcu Głównym sprzedają wyśmienite zapiekanki. Pusty żołądek jest tak samo dobrym powodem do przejażdżki jak każdy inny. I znów wsiadam do tramwaju linii nr 2.

*Więcej o Olsztynie oczami pisarza miejskiego przeczytacie na jego stronie:

<http://www.pisarz-miejski-olsztyn.com/>

ANNA MATYSIAK

Rotlippenmuschel

ROTLIPPENMUSCHEL

dawno, dawno temu

chyba byłam kimś innym – mówi

Rotlippenmuschel –

miałam wtedy

szarą materię zamiast perty

ale

się nie przydała

ROTLIPPENMUSCHEL I STWORZENIE OCEANU

na początku wszystko było osobno

nic oddzielone od czegoś

a coś się wydarzało

potem wydarzało się częściej

aż zabrakło miejsca na nic

zostało tylko brzęczenie

Rotlippenmuschel nie pamięta

kiedy przestała je słyszeć

ROTLIPPENMUSCHEL I OCEAN

Rotlippenmuschel nie wypływa na powierzchnię

niektórzy mówią, że już nie ma powierzchni

że ocean ciągnie się do samej gwiazdy macierzystej

Rotlippenmuschel

kiedyś będzie chciała to sprawdzić.

ROTLIPPENMUSCHEL I PAMIĘĆ

pamięć to poruszenie

– myśli Rotlippenmuschel –

kiedy czujesz

jak drgają w tobie

te wszystkie złote łuski

ROTLIPPENMUSCHEL I WYBUCHY

zawsze te wybuchy trzęsienia podwodne

nagle ławice prądy wstępujące

a można by zwyczajnie płynąć

w lekkim przechyleniu

z jednym uchem

szumiącym

ROTLIPPENMUSCHEL I ECHO

wydaje się że w zanurzeniu

wszystko będzie miękkie i głucho

a to tylko przeniosło się z ucha

pod denko muszli

i możesz myśleć że to nie twój głos

ROTLIPPENMUSCHEL I ŚLAD W WODZIE

niedomknięta

jak rzucona w morze latarenka

obraca światłem

odbija się w fali

czy da się zostawić

śląd w wodzie

ROTLIPPENMUSCHEL I ŚRODEK WODY

opór wody sprawia

że stukać trzeba mocniej

ale i tak nie wiesz

po której stronie rzeczy jesteś

ROTLIPPENMUSCHEL NIE WIERZY W SIEBIE

Rotlippenmuschel jest słabej wiary bo jak

ma wierzyć gdy tak słabo się odróżnia

od tego co po bokach i co nad i pod

– jestem jestem –

powtarzają fale ale

tylko kiedy obok

przepływa płaszczka i zamiata ogonem

jedną stronę świata

tę słabą

ROTLIPPENMUSCHEL NIE ZNA SIĘ NA POEZJI

nic nie jest cicho

wszystko stale gada

rozgadani mieszkańcy miast

pod naszą skórą

krzyczą tak

że głowa boli

Rotlippenmuschel i hard core

pod pancerzykiem chowa się miękkie

a jeszcze głębiej chowa się twarde

które bez miękkiego by pękło

naprawdę by pękło

od światła

RROTTTLIPP..

trzeba przyznać – to dobrze że jest tyle czasu

bo przez eony i megaeony

można się przyzwyczaić do braku ciężenia

i można by pomyśleć że co to jest czas

i można by zapytać co to jest pomyśleć

i można by nie wiedzieć co to jest co to

ROTLIPPENMUSCHEL I OSOBLIWOŚĆ

osobliwość jest gdy się odsuwa

e od mc kwadrat gdy ciało zanurzone w wodzie

waży więcej niż woda wyparta przez wszystkie inne ciała

gdy czas zatacza koło i zachodzi cię od tyłu

i mówi –

zaczynij się

a cisza

słowo musi się zaczepić

w powietrzu ziemi wodzie

na ostatniej desce

wymytej solą z morza

w symetrii i w kolorze

żłobionej muszlą matła

grünlippenmuschel albo

perna canaliculus

rzeźbionej

osadem z samego dna

z pamięcią skrzyni skarbów

słowo musi

a cisza –

ANNA MATYSIAK – poetka, absolwentka LO w Kętrzynie i Uniwersytetu Warszawskiego. Opublikowała trzy książki poetyckie: *Czułość liter* (2015), *Żrebię Heraklita* (2017) i *Tyle nieznanymi Ryb* (2018). Nauczycielka akademicka, redaktorka i tłumaczka, prowadzi własne wydawnictwo. Zbiór *Tyle nieznanymi ryb* otrzymał w 2019 roku Nagrodę Literacką Warmii i Mazur „Wawrzyn”.

PIOTR GWIAZDA

Wiersze

Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego wyboru wierszy Piotra Gwiazdy. Tomik ten pod redakcją K. Brakonieckiego i K.D. Szatrawskiego ukaże się w przyszłym roku w Biblioteczce SPP w Olsztynie i zawierać będzie tłumaczenia K. Brakonieckiego, J. Gutorowa, P. Siweckiego, K.D. Szatrawskiego oraz A. Zdrodowskiego.

Przełożył ADAM ZDRODOWSKI
ZŁA PASSA

A potem nadeszły:
Porażka, Odrzucenie, Strata,
policzek, nóż w plecy,
złe decyzje i inne nieszczęścia...

Straciłem pracę, zostawiła mnie dziewczyna,
przyjaciele zaczęli rozpowiadać plotki.
Ciężarówka sąsiada
zdekapitowała mojego psa.

Znów zacząłem palić i dostałem raka.
Sptonął mój dom, i oskarżyli mnie o podpalenie.
Kłopoty piętrzyły się bez końca –
Wezwanie do zapłaty, etc.

Wygląda na to, że szczęście jest zawsze pożyczone.
Trzeba je zwrócić z odsetkami.

Wygląda na to, że życie to podróż na północ
pustym, nieogrzewanym pociągiem.

USUWALNE TATUAŻE

W modzie są pierwsze przyczyny. Tak jak transakcje terminowe
i młoda różowa rzepa. Kultura jest na topie,
anarchia prawie na wylocie. Tatuaże można usunąć,
Judasza Iskariotę rehabilitować.

Wielka tradycja ściemniania historii
dobiega końca. Idee są nieczyste,
komicy nieudolni, gwóźdź w ścianie
jest tylko gwoździem w ścianie, ale kto by się skarżył?

Co sześć miesięcy należy zmienić
hasło poczty elektronicznej i/lub partnera seksualnego.
Pewnego słonecznego popołudnia zasnąłeś
i obudziłeś się w środku gwałtownego gradobicia.

A jednak nie wszystko stracone, kiedy poeci –
zmęczeni konkursami, znudzeni manifestami –
improvizują subtelnie nastrojonym Sprechstimme
piosenki wątpliwej wagi i nieuchwytniej urody.

CZŁOWIEK O JEDNYM ŻYCIU

Człowiek o jednym życiu
nie znajduje w życiu spełnienia:

Rozgląda się
kiedy przechodzi przez jezdnię
wolałby jednak
spojrzeć w otchłań

Nosi walizkę
pracuje po godzinach
wolałby jednak
ścigać wielkiego lwa

Chodzi do dentysty
odwiedza matkę
wolałby jednak
straszyć małe dziewczynki

Kosi trawnik
spłaca kredyt
nie pamięta o swoich urodzinach
robi plany na lato

Czyta gazetę
w weekendy chodzi na ryby
słucha Mozarta
przestrzega diety
Envoy
Może to i lepiej
że ma tylko jedno życie

nie wiedziałby co zrobić
z dwoma

ZADZWONIŁA DO MNIE TELEFONISTKA

Któregoś dnia zadzwoniła do mnie Telefonistka.
Powiedziała, że mój numer brzmi sexy
i spytała co robię dziś wieczorem.
Jej imię wywierało mi z pamięci. „Bądź u Rudiego...

O w pół do dwunastej... Będę miała na sobie
(co wreszcie miała na sobie?)... Do zobaczenia!”

„Daj szczęściu szansę” od zawsze było moją dewizą.
Nie miałem innych planów, więc się zgodziłem.
O dziesiątej, kiedy już wychynałem z garderoby
w koszuli pasującej (jak to ujął sprzedawca)
do mojej osobowości, przykleiłem uśmiech
do skonsternowanego odbicia w lustrze.

Co zdarzyło się później, należy już do innego wiersza.
Skończyło się na jednej randce z Telefonistką,
której tajemnica trwała niewiele godzin,
której słowa miały niewiele sensu.
Do następnego ranka przestałem się czuć
jak epicentrum małego trzęsienia ziemi.

Przełożył PIOTR SIWECKI
OCALAJĄC ŚWIATŁO DNIA
Stonington, Connecticut

1. Chmury rozdzieliły się. Łódź wraca do zatoki. W październiku błękit jest przeciwieństwem błękitu. Rybitwa. Gwałtowność widzialnego: zawsze coś rozprasza, zawsze bałagan. Coś też zawsze zostaje stłumione. Ale co?
2. Pojawiają się oni. Mężczyzna i kobieta. Idą na skraj nabrzeża. Siadają na ławce. On pali papierosa, ona wysyła wiadomość tekstową. W czasie snu przemawiam w języku, którego nikt nie rozumie. Dziesięć minut później już ich nie ma.
3. Nabokov powiedział, że czas jest więzieniem. Potrafił pamiętać odcienie cienia. Ja pamiętam intensywność światła: blask księżyca z poprzedniego wieczoru, kiedy szwendałem się Water Street. Lśnienie latarni ubiegłej jesieni.
4. Szary to kolor dnia wczorajszego. Kolorem minionego tygodnia jest zieleń z cienkimi smużkami żółci. Barwa roku ubiegłego wyblakła. To ten rodzaj koloru, którego nigdy więcej nie zobaczę. Powietrze jest jak ostrze noża. Doskonale dzisiaj. Rozdwojony.
5. Dzień z życia... W głowie mam obraz poety, który już nie żyje. W dłoni trzymam klucz do jego mieszkania. Dlaczego z roku na rok zapominamy coraz więcej? Mieszkanie odpowiada kamykami i gwiazdami.

PIOTR GWIAZDA urodził się w 1973 roku w Olsztynie, uczył się w III LO im. M. Kopernika, latem 1991 wyjechał z rodzicami do USA. Pierwsze wiersze publikował w olsztyńskich periodykach „Teraz My?”, „Borussia” (1992/2). Poeta, krytyk literacki, tłumacz poezji polskiej, wykładowca akademicki na uniwersytetach amerykańskich specjalizujący się w poezji angloamerykańskiej. Obecnie pracuje jako wykładowca na Uniwersytecie Pittsburskim. Autor kilku książek poetyckich i krytycznoliterackich. Debiutował w 2005 r. tomem wierszy *Gagarin Street*. Inne pozycje poetyckie to m.in. *Messages* (2012), *Aspects of Strangers* (2015).

EUGENIA DOBROVA

Mostowagony przelożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Kota wyłowili z beczki na placu budowy. Nie wiadomo, jak długo w niej pływał. Może cały dzień. Kot szamotał się przy śliskiej ścianie, skrobał pazurami po wewnętrznej stronie metalowego pierścienia, ale wydostać się nie mógł – wody nie było pełno i bariera okazała się nie do pokonania. Przez cały czas rozpaczliwym miauczeniem wzywał pomocy. Dlatego go znaleźli.

— Chodź tu, kotku.

Saszka pochylił się nad beczką. Kot miauknął jeszcze głośniejsze i wczepił się w rękaw.

— Utonąłby – powiedział Tolian. – Dobrze, że usłyszeliśmy. Trzeba go wysuszyć. Weź go do siebie. My mamy Bubluka, zjadłby go.

— Spróbuję.

Kot skulił się w ramionach Saszki i drżał. Z sierści ściekała woda, kapała z koszulki na szorty, na nogi, przesiąkała przez dziurki w sandałach. Sasza wracał wąską ścieżką do domu i rozmyślał, co powie matce. W rodzinie nigdy nie trzymano zwierząt.

Miejsce, w którym mieszkał Saszka, nazywano Mostowagony. Na Bohu budowano stały most, który zamiast starego, pływającego, miał bezpośrednio łączący prawobrzeżną Warwarówkę z miastem, a mówiąc krócej, powiązać Nikołajew z drogą na Odesę. Do brzegu podciągnięto linię kolejową, którą dostarczano materiały budowlane i skład wagonów przystosowanych do zamieszkania. Mieszkali w nich robotnicy. Dlatego Mostowagony.

Obok stały baraki. W tym samym co Saszka mieszkały cztery rodziny. Każde mieszkanie miało osobne wejście. Furtka, za nią rabatka i ogródek. Na czterdziestu metrach kwadratowych matka założyła ogród kwiatowy: róże, malwy, gailardie, astru, rudbekie. Para drzew morelowych, stary orzech, a pod płotem czarna i biała morwa. Plamy z czarnych jagód wywabiali z ubrań białymi, nic poza tym nie brało, ani mydło, ani soda, ani roztwór soli, ani wrzątek z kancelaryjnym klejem. Saszka zerwał jagodę z gałązki, włożył do ust. Poprawił kota, aby było mu wygodniej. Kot rozgrzał się i spokojnie spał na piersi. Matka wyszła na ganek w naszyjniku z klamerką i z miską mokrej białizny w rękach.

— Zobacz – pokazał kota Saszka. – Tonał w beczce na budowie. A ja go wyciągnąłem. Chcieli go utopić, a może sam niechcący wpadł.

Matka postawiła miskę na schodach, zdjęła suchy ręcznik ze sznura. Usiadła na ławce, rozłożyła ręcznik na kolanach, wzięła kota.

— Całkiem młody, jeszcze kociać.

Podczas wycierania kot siedział cicho, nie opierał się. Saszka podrapał go za uchem.

Kot kichnął.

— Podaj mi wełniany szalik – powiedziała matka. – Wisi w korytarzu na wieszaku.

Saszka podał. Zwinęli kotu postanie i wynieśli na ganek, na słońce.

— Mamy mleko?

— Kefir.

— Może zje?

Saszka zerwał zieloną pokrywkę, nalał pół talerzyka, nakruszył białego chleba.

— Jedz – podstawił bliżej.

Kot jadł łapczywie, krztusił się, przetykał i znów się krztusił. Zjadł. Wylizał talerzyk do czysta.

— Zgłodniałeś biedaku. Ach ty nieszczęśliku! Nie przejmuj się, dam ci jeszcze.

Drugi talerzyk również wylizał do czysta. Zwinął się w kłębek na szaliku i zasnął.

— Mamo – spytał Saszka. – Może z nami zamieszkać?

I Murzik został. Następnego dnia matka pojechała do centrum i kupiła dla niego miskę.

— Będzie łapać szczury – powiedziała ojcu.

Kot umiał mówić. Nie, nie dosłownie – wkładał Saszcze słowa do głowy. Telepatycznie. Sam Saszka telepatycznie wkładać nie umiał i dlatego wszystko mówił kotu na głos. A kot rozumiał.

Ta zdolność rozumienia ujawniła się na budowie. Chodzili z Tolianem bawić się koło mostu w chowanego. Tam było im wolno.

— Czyi jesteście? – pytali robotnicy.

— Tato jest tutaj dźwigowym – odpowiadał Saszka i dawano im spokój. Tylko brygadziśta czasami ich ganiał, to zły człowiek.

Wzdłuż brzegu rozciągała się fabryka produkująca żelbetonowe bloki – elementy mostu przygotowywano wprost na budowie. Przez teren fabryki skracano drogę nad rzekę – nie było ogrodzenia. Teren przecinały ogromne wykopy, na platformach kolejowych zwożono tu granitowy tłuczeń, który mieszano z cementem i formowano w płyty na przęstach. W rowach zbierała się siarka, dziennie można był nazbierać stoik po majonezie. Siarkę można było palić, śmierdziało piekielnie, płonęła suchym, niebieskim ogniem – cenna rzecz.

To tu, to tam, roztawiono na budowie „poidła” – automaty z wodą gazowaną dla robotników budowlanych – bezpłatne, działały nie na monety, a na przycisk. Szkoda, że bez syropu.

Most budowano z pontonów – stalowych prostopadkościanów połączonych szerokimi poprzeczkami. Po nich można się było dostać do głównego nurtu rzeki i zobaczyć w głębinie wielką rybę: sandacza, karpia, leszcza.

Saszcze podobały się Mostowagony. Było to świetne miejsce do zabawy: dookoła mieszkalne wagony, baraki z materiałami budowlanymi, podnośniki, rury, zwoje kabli, zwały armatury. . .

— My się schowamy, a ty szukaj – polecili kotu.

— Poza wagony nie wychodzić – odpowiedział kot. Saszka usłyszał, ale Tolianowi nie powiedział.

Murzik zawsze potrafił ich odnaleźć, potrzebował najwyżej pięć minut.

— Teraz twoja kolej.

Kot pędził za składy. Chował się w różnych miejscach, ale tak, aby Saszka z Tolianem mogli go odnaleźć. I nigdy nie wychodził poza ustalone granice. Zgodnie z umową. Na początku Tolian się dziwił, później przestał.

Murzik szybko się oswoił i został gospodarzem podwórka. Kiedy Waśka z sąsiedztwa przyszedł syczeć do ogrodu pod oknami, Murzik poszarpał mu lewe ucho.

— Walczy o terytorium – powiedział ojciec. – Prawdłowo kocie. Goń stąd wszystkich precz.

Wieczorem ojciec położył do miski więcej taranki.

— Smaczna – powiedział kot.

Chodził za Saszką jak pies za nogą. W końcu Tolian zaproponował, aby zrobić mu smycz i obrozę. W tym celu Saszka wyprosił u matki stary pasek od sukienki.

— Uważaj, nie uduś.

— Zawiązałem luźno – odpowiedział Saszka.

— Chodźmy na kamienie – powiedział Tolian.

Saszka trzymał w dłoni smycz. Murzik drobnym kutusem biegł za nim. Szli rybacką ścieżką pomiędzy głazami. Rzeka falowała z lewej, lizala brzeg, kołysała wodorosty. Od strony starej barki kładł się na wodzie długi cień.

Naprzeciw nim, od Artyleryjskich Kamieni, przedzierała się ciotka z konewką. Ciotka jak ciotka, nie młoda, nie stara.

— Chłopaki, a nie prowadzicie go utopić?

Głupia, pomyślał Saszka.

— Aha. Zaraz utopimy.

— Chłopcy, wypuście kota! – rzuciła się na ratunek.

Konewka zatańczyła w jej ręce, a Saszka zauważył, że leżą w niej morele. Murzik wygiął się w łuk, uniósł ogon wyprostowany jak kij, zasyczał.

— Puszczaj, my tylko spacerujemy.

— A... Już myślałam, że chcecie. . .

Saszka z Tolianem rozsiedli się na szczycie zbocza, zaczęli oglądać żurawie-kraby,

ludzi-mrówki, srebrzysty łańcuszek pontonów. Właśnie tu się zaczynało ujście Bohu, kilometr w górę rzeki z Bohem łączył się Inguł i dalej wspólnie niesły swe wody do Morza Czarnego. Ale często mogło się zdawać, że rzeka zawróciła i płynie w odwrotną stronę. Słodka woda mieszała się przy ujściu ze słoną i powracała przeciwnym prądem w górę. Tolian poluzował pętlę, ściągnął z kota obrozę. Murzik położył się na ciepłym głazie i obserwowwał krążące nad falami mewy. Jego źrenice zwięzły się do wielkości ziaren kminku.

— Ptak – powiedział kot.

Na sąsiednim głazie przysiadła mewa. Z dzioba zwisała mała śliska rybka.

Z brzegu można było dostrzec, jak w Bohu miotają się w tę i z powrotem ławice ogłuszonego sandacza – budowniczo wie mostu codziennie wysadzali grunt pod podpory. Słodki nurt znosił ławice ku Suchej Fontannie, słony z powrotem ku Artyleryjskim Kamieniom.

— Dużo ryby – powiedział kot.

— Jest do niczego – odpowiedział Saszka.

— Co? – nie rozumiał Tolian.

— Żal sandaczy, wszystkie zdechły. Byczki będziemy łowić, czy co?

Saszka wiedział jak odróżnić świeżą rybę od stęchłej. Trzeba obejrzeć skrzela, u świeżej są bordowe, a u zepsutej białawe, jasnoróżowe. I jeszcze mętne oczy.

Dynamitowa ryba była dorodna, ale nikt jej nie zbierał, nawet jeśli skrzela były czerwone. Wszyscy się jej brzydili. I Saszka także.

Na płyciznie, w jedwabnym śluzie wodorostów, mnożyły się krewetki. Zdejmiesz majtki, przeciągniesz nimi po kamieniu i już masz pełny stoik. Saszka z Tolianem gotowali je na ognisku. Woda w Bohu była słonawa, bywało więc smacznie. Na krewetki dobrze się łowiło. Wystarczyło oderwać ogon i prawidłowo założyć, łapał się spory byczek. Ale wędkci zostały w szopie, zapomnieli o nich.

— Podskocz – rzekł Tolian. – Ja tu się poopalam.

— Murzik, pójdziesz z mną? – Saszka próbował skusić kota. – Nie? Zaraz wracam.

W szopie wzięł sprzęt, chwycił puste wiadro, wyciągnął z piwnicy stoik z robakami. Wodne robaki dawały podwójną korzyść, po pierwsze ryby, a po drugie, kąpiąc je na brzegu, Saszka z Tolianem zebrali swoje kolekcje. W nadbrzeżnym piasku trafiały się żyłki, pozieniałe, miedziane i aluminiowe żołnierskie z wydrapanymi imionami. Niemieckie guziki z mundurów piechoty i oficerów marynarki, drobiazgi: gilzy, kule, monety. Raz Saszka znalazł rozbitą lornetkę, a Tolian rzadki znaczek z napisem „KMM” – Komunistyczna Międzynarodówka Młodzieży. Później stała się komsomołem.

Półow okazał się niezły – Saszka przyniósł do domu z pół setki byczków. Matka usmażyła je na wielkiej patelni na rzepakowym oleju. Z dziesiątek przypadł i kotu. Mógłby pożreć i więcej, ale kto by mu dał.

Z kranu kapała woda. Kot leżał na podstawce, na białej bawełnianej ściereczce, którą matka przecierała szklanki i spoglądał na krople.

Do kuchni wszedł ojciec, z żyłkowej siatki wypakował na stół bochenek, poeć stoniny,

purpurowe kłęgi baktazanów.

— Rozłożył się, sybaryta! — Ojciec przetoczył papierosa do kącika ust, ruszył w kierunku zlewu. — Precz!

Chwyć Murzika pod zebra i lekko przerzucić przez próg na ganek.

— Przeszkadzał ci? — mruknął Saszka.

— Przecież to kot.

Ojciec zgniół ręcznik, cisnął do miednicy z brudną bielizną, umył ręce. Saszka wzruszył ramionami. Murzik spał razem z nim na składanym łóżku. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt Saszką nie gardził. O co ojcu chodziło? „Przecież to kot...”. No i co?

Miesiąc przed listopadowymi świętami matka kupiła na rynku żywą gęś. Przed świętami wszystko drożało, więc zadbała o wszystko z wyprzedzeniem.

— Zabijemy w przeddzień, upiekę w musztardzie z jabłkami — powiedziała i zamknęła ptaka w szopie.

Przez pierwszy dzień kot wił się wokół jak piskorz.

— Nie wolno, Murzik, nie wolno. Mama na siódmego listopada kupiła.

Ojciec się roześmiał:

— Gdyby taka rąbnęła dziobem, zabiłaby kota na śmierć.

Gęś nie chciała jeść. Sąsiadka poradziła, by rozmoczyć w wodzie biały chleb i palcem wepchnąć jej do gardła. Matka zrobiła tak raz i drugi. Karmała ją w ten sposób przez cały miesiąc, namęczyła się.

Ale skosztować gęsiny się nie udało.

— Zjedłście gęś? — spytała po świętach sąsiadka.

— Zoja, zostaliśmy bez gęsi. Wypatroszyłam, powiesiłam na pół godzinki za oknem i tyle.

— Zdarza się, Walu. Nasz Waśka kurczaka z garnka wyciągał, z wrzątku. Dwa razy.

— Gdyby to był kot. Człowiek. Na milicję pójść, czy co... Jakiś facet zwędził. Wlazł do ogrodu, odciął siatkę od okna. Widziałam z kuchni jak wyciąga rękę, wyskoczyłam na ganek, ale nie zdążyłam. Uciekł gad. Na całą ulicę krzyczałam: zostaw gęś! Nie zostawił. Z sieni na ganek wyszedł Murzik, przeciągnął się, ziewnął, pokazał ostre zęby.

— To brygadzysta — Saszka usłyszał słowa kota. — Brygadzysta ukradł.

— Mamo! — krzyknął. — Widziałem tego człowieka! Przypomniałem sobie, to taty brygadzysta!

— A to kanalia! — Matka aż klasnęła. — Nie ma nic gorszego niż kraść u swoich.

Na milicję nie poszła.

Do wiosny stały most dociągnięto do Warwarowki, a budowniczcy dostali mieszkania. Nowy dom stał w drugiej części miasta, niedaleko ogrodu zoologicznego. Wysoka ceglana baszta z balkonami. Ojciec przez dwa tygodnie chodził na budowę, montował pawlac, rozklejał tapety, wieszał gzymsy i żyrandole, lakierował parkiet. Kilka razy pomagał mu Saszka — do maja musieli się przeprowadzić, więc się śpieszyli.

W ostatni dzień kwietnia przed barakiem zatrzymał się Ził z otwartą skrzynią. Załadowali się szybko, dobytek rodzinny nie był wielki: szafa, krzesła, stół, połowe łóżeczko Saszki, rodzicielskie łóżko z żelazną siatką, dywan, tobót z odzieżą, naczynia w pleconym koszu. Koryto zostawili w szopie — teraz już nie jest potrzebne, w nowym mieszkaniu jest wanna. Miedziane łyżki i niemieckie guziki też nie przenosiły się do nowego życia. To były rupiecie. Matka je wyrzuciła.

Ojciec stał na podwórzu, palił, żegnał się z sąsiadami. Matka poszła, by spotkać ich w nowym mieszkaniu.

— A Murzik gdzie? Kici, kici...

W ciemności piwnicznego okienka zapaliło się dwoje żółtych oczu. Saszka kucnęła i ujrzała, jak źrenice zwięzły się do wielkości ziarenka kminku.

— Nie pojedzie — powiedział Saszka ojcu. — Zostaje. Tak zdecydował.

— No nie — rzucił ojciec i skierował się ku okienku. Ziarenka znikły. Po kilku minutach ojciec wrócił do ciężarówki.

— Na to wygląda... Mądry kot. Żal zostawić...

Saszka milczał.

— Pojedziesz na pace, w kabinie nie ma miejsca — powiedział ojciec, siadając przy kierowcy.

Saszka wdrapał się na tylne koło, przeskoczył przez burtę i rzucił się plackiem na rodzicielskie łóżko. Ził ruszył. Z początku po prostu leżał, a później zaczął wspominać wszystko po kolei: i srebrzysty łańcuch pontonów, i ciotkę z morelami z Artyleryjskich Kamieni, i ławice ogłuszonego sandacza, i krewetki w wodorostach, i ręcznik, którym matka wytarła Murzika, i miskę ze świeżą tranką...

Koty zawsze chodzą swoimi drogami.

EWA POHLKE

Sztukoterapia

Wikipedia: arteterapia lub też arterapia (*arte* z łac. *ars* sztuka i terapia) — leczenie przez sztukę. Termin „arteterapia” składa się z dwóch części (bardziej widoczne jest to w języku angielskim: „art therapy”), co sugeruje, że jest to działanie bazujące na dwóch równoważnych elementach: sztuce (twórczości) i terapii.

Są różne formy i rodzaje arteterapii. Najczęściej stosowane i najbardziej lubiane są malarstwo, rzeźba, garncarstwo, taniec, śpiew. Każda z tych form pozwala lepiej poznać i zrozumieć towarzyszące nam emocje, potrzeby, lęki i pragnienia. Z pewnością działania artystyczne są świetnym sposobem na wyrażenie siebie, na komunikację ze światem i samym sobą. Arteterapia poprawia kondycję psychiczną i fizyczną, pozwala na pełną wolności i swobody ekspresję twórczą. Ponadto ćwiczenia manualne poprawiają koncentrację, a twórczość plastyczna rozwija wyobraźnię. Służy zarówno dzieciom, jak i dorosłym. Nie trzeba mieć szczególnych zdolności plastycznych, aby wziąć udział w arteterapii, ale bardzo często zdarza się, że jej uczestnicy odkrywają u siebie ukryte talenty i pragną je rozwijać i udoskonalać.

Myślę, że wciąż nie docenia się znaczenia muzyki i plastyki w szkole, które mogłyby rozładować napięcie i lęki zestresowanych uczniów, podnosiłyby ich poczucie wartości, poprawiały nastrój, sprzyjały wyciszeniu i rozluźnieniu. Przedmiot, nazywany dziś „szuką”, jest prowadzony podobnie jak inne lekcje szkolne i uczniowie rzadko mają okazję, aby podczas lekcji zrobić coś naprawdę twórczego. Szkoda, bo dzieci z problemami natury emocjonalnej często dopiero poprzez sztukę potrafią się otworzyć. Oprócz obcowania z kolorem, fakturą, mieszanie, dotykane farb uwrażliwia zmysły i jest po prostu znakomitą formą zabawy i relaksu dla wszystkich dzieci. Arteterapia niesie ze sobą wiele korzyści: pomaga odzyskać równowagę psychiczną, jest pomocna w profilaktyce oraz leczeniu depresji. Dodatkowo zmniejsza poziom frustracji i agresji, podnosi samoocenę, wzbogaca życie wewnętrzne, poszerza wiedzę i umiejętności, poprawia sprawność manualną i rozwija wyobraźnię.

„Artysta nie jest specjalnym rodzajem człowieka, lecz każde dziecko jest specjalnym rodzajem artysty.” E. Gillem

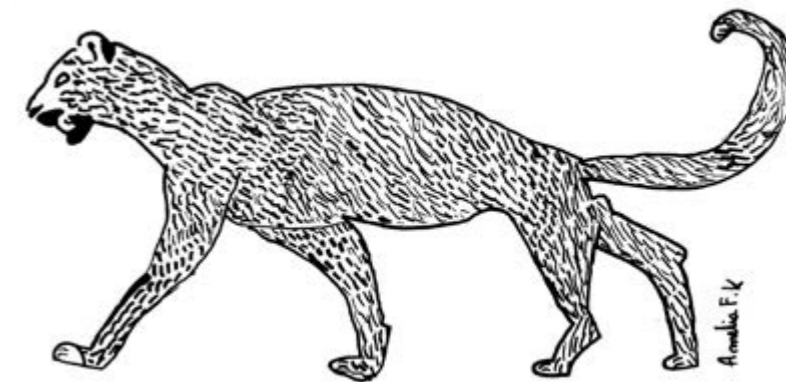
Od września ubiegłego roku pracuję w Pałacu Młodzieży w Olsztynie. Prowadząc zajęcia plastyczne z dziećmi, zawsze zwracam uwagę na aspekt terapeutyczny naszych spotkań. Przygotowuję propozycje tematów i technik, ale

pozwalam dzieciom wybierać i decydować o tym, co konkretnie chciałyby tego dnia namalować i w jaki sposób. Nawet małe dzieci mają swoje ulubione kolory, więc użycie ich w pracy plastycznej sprawia im radość. Malowanie obrazu, decyzja o użyciu takiego, a nie innego koloru, wybranej techniki to wspaniały trening asertywności, odpowiedzialności i samodzielności. Prawdziwa sztuka jest przestrzenią wolności myśli i czynu.

Podczas procesu twórczego nauczyciel towarzyszy uczniom, zachęca i doradza, dzieli się swoją wiedzą, demonstruje zastosowanie różnych technik, materiałów i narzędzi, ale nie dyktuje gotowych rozwiązań. Nie powinno się nigdy narzucać dziecku, co i jak ma malować, bo zamiast rozwijać, ograniczamy wówczas fantazję dziecka i hamujemy naturalną w tym wieku spontaniczność. Dla nauczyciela tak samo ważny powinien być zarówno rozwój talentu, jak i samopoczucie dziecka. Twórczość plastyczna dzieci powinna być dla nich przyjemnością, radością i kreatywną rozrywką. Nauka poprzez zabawę to sprawdzona i najbardziej efektywna metoda nauczania.

Mam świadomość, że być może tylko nieliczni spośród moich uczniów będą w przyszłości zajmować się malarstwem. Moim celem jest więc nie tylko rozwijanie ich talentów plastycznych, lecz także staram się przede wszystkim zachęcać dzieci do twórczej ekspresji, własnych poszukiwań, podejmowania ryzyka i twórczego eksperymentowania. Chciałabym, żeby moi uczniowie byli radośni i odważni, by wierzyli w swoje możliwości, mieli otwarte oczy i serca na otaczające nas piękno, by czerpali przyjemność z obcowania ze sztuką i potrafili wykorzystać w swoim życiu i rozwijać dar kreatywności, który posiada każdy z nas.

Rys. z archiwum Pałacu Młodzieży w Olsztynie



EUGENIA DOBROVA — poetka, prozaik, tłumaczka, nauczycielka literackiego rzemiosła. Autorka książek *Herbata*, *Włości Moldorora*, *Persony non grata i grata* i innych. Dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury Rosji, stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej. Członkini Międzynarodowego PEN Clubu i Związku Pisarzy Moskwy. Mieszka w Moskwie. W lutym odwiedziła Olsztyn w związku z promocją serii *Trilinguis*, do której przetłumaczyła na język rosyjski wiersz K.D. Szatrawskiego „Kiedy czas się kończy”.

PRACE DZIECI

Z PAŁACU MŁODZIEŻY W OLSZTYNIE – PRACOWNIA EWY POHLKE



URSZULA MADEJA, opracowanie IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Domek Jasia i Małgosi

Przyjechałam do Olsztyna pięćdziesiąt lat temu, wcześniej byłam tu tylko parę razy jako dziecko, nastolatka i studentka. Zawsze magicznym miejscem w Olsztynie było dla mnie osiedle nad Jeziorem Długim. Osiedle z lat trzydziestych ubiegłego wieku (projektowane w latach 1930-31, ale realizowane w latach 1935-39) autorzy jego monografii – Ernst Vogelsang i Rafał Wolski (olsztynianin) – we wstępie nazwali „udanym osiedlem”. I niewątpliwie jest ono niezwykle udane, jeśli miałabym je określić tylko jednym przymiotnikiem. Pierwotnie składało się z czterech ulic, ale późniejsza, powojenna przebudowa, wytyczenie dodatkowych ulic i wstawienie nowych, typowych domków nie zniszczyło generalnie klimatu tego miejsca. Osiedle to nadal jest atrakcyjnym miejscem do zamieszkania.

I tak się szczęśliwie zdarzyło, że jestem jego mieszkanką. Zaczęło się od tego, że znalazłam bardzo małe ogłoszenie w gazecie – sprzedam działkę 400 m², a w nawiasie – J. Długie. Ogłoszenie to okazało się początkiem mojej historii mieszkania w tym osiedlu. Właścicielka działki, autochtonka, która mieszkała od lat trzydziestych w tym osiedlu, teraz jako starsza pani musiała sprzedać część działki, aby uzupełnić swoją skromną emeryturę nauczycielki i pracownicy kuratorium oświaty. Świadoma byłam tego, że jest to podział wtórny i trudny dla sprzedającej, w związku z tym chciałam się jej przedstawić, abym nie była tylko anonimowym, potencjalnym sąsiadem. Spośród czterestu ofert wybrała mnie.

Plan działań wyglądał tak: kupiłam działkę w 1995 roku i zaczęłam projektować dom, mając równolegle na desce inne tematy. Był to czas przygotowania przeze mnie koncepcji Starego Ratusza i innych dużych realizacji. Czasu na domek miałam niedużo. Założyłam, że ma być bardzo prosty, bo przecież mam mocno ograniczone środki. A finanse – to przecież rzecz podstawowa u inwestora. Jak ma wyglądać dom przy określonych, nie za dużych funduszach? Miałam środki jedynie na stan surowy. Niestety, nie pozwoliły mi one na zbudowanie domu pasywnego, chociaż o tym myślałam, a wtedy jeszcze nie było popularne myślenie o ekologii – a już wówczas chciałam od południowej strony zrobić mały wintergarten, który pośrednio ogrzewałby dom.

Gdy go projektowałam, kolega, z którym pracowałam, był oburzony, że tworzę „psią budkę”, argumentując, że architekt nie może projektować czegoś tak małego i tak prostego dla siebie. Natomiast ja tłumaczyłam mu, że po pierwsze – dom nie może być większy niż budynki, które pierwotnie były budowane w tym osiedlu, po drugie – żyjemy w kraju, w którym architekt powinien dawać przykład, jak powinno się budować, aby dom był w miarę dostępny, a ludzie nie wchodzili w niebotyczne koszty realizowania idei domu w wielopokoleniowym „pałacu”. Najmniejszy dom może być domem dwupokoleniowym. Może być dwoma małymi mieszkaniami. Zmniejszałam więc ciągle ten mój projekt, licząc równolegle koszty. Mój syn zażartował, że jeśli dojdę do powierzchni 32 m², nie będziemy się przeprowadzać, ponieważ takie małe mieszkanie dotychczas

zajmowaliśmy. W efekcie końcowym zrobiło się z tego około sześćdziesiąt parę metrów, a ponieważ stromy dach dawał też pewną przestrzeń, w związku z tym powierzchnia automatycznie jest większa. Garaż został zaprojektowany jako odrębna bryła. Projektowałam dom tak, aby nie było martwych przestrzeni, które są tylko komunikacją, a także dzieliłam i jednocześnie łączyłam poszczególne fragmenty – okazało się, że osoby, które wchodziły do wnętrza, dziwiły się, że z zewnątrz obiekt o takich małych gabarytach, wyglądający jak „domek Jasia i Małgosi”, jest tak funkcjonalny i tak przestrzenny.

Na zewnątrz elewacja od strony ulicy ma dwa okienka i na środku drzwi wejściowe, tak jak w domkach rysowanych przez dzieci. I taki jest mój domek. Nawet jedno okno jest mniejsze, bo jest tam łazienka (pierwotnie było większe). Oszczędności spowodowały, że to, co można było zmniejszyć – zmniejszylam.

Po doprowadzeniu do stanu surowego, który wykonaliśmy bardzo szybko, co najmniej dwa lata dom stał niewykończony. Potem zajęłam się wnętrzami i tak naprawdę dopiero teraz dom jest w pełni ukończony, chociaż zawsze można byłoby jeszcze coś dopracować. Jest w nim wiele wad, ale na szczęście jestem krótkowidzem, a przy tym częściej patrzę w książki, niż w te małe niedoróbki czy usterki, w związku z tym przestały mnie one boleć. Musiałam je „oswoić”. Przyjechał kiedyś mój kolega architekt z Krakowa, który miał już zaprojektowanych około 500 domków i stwierdził, że musi mój układ narysować, bo nie wie, w czym leży „geniusz” tego domu, że jest on tak pojemny, tak elastyczny i tak w rzeczywistości prosty. Dom zbudowany jest na dwóch modułach w obrębach ścian: 4,55 m i 2,45 m. Są to małe moduły, ale mieści się w nich wszystko. Przy tym z góry wiedziałam, że jest on projektowany na późne lata życia dwóch kobiet. To jest bardzo istotne, dla kogo budujemy. Jest obecnie wiele opracowań, które mówią o tym, jak należy projektować dom dla dorosłych, bo tak, jak mawiała Zofia Stryjeńska, „starszejemy”. W związku z tym dom musi być niezwykle wygodny. Zaprojektowałam przestrzeń, w której można jeździć wózkami, można się nim obrócić w łazience, można chwycić się uchwytu przy wannie. Można wymontować jeden z elementów, np. bidet, i zrobić miejsce na wózek przy misce ustępowej. Dom jest cudowny, bo jest spełnieniem marzenia na jawie, a jednocześnie idea, można go nazwać taką „kołyską” dla człowieka, która go ukolysze, utuli, jest czymś bezpiecznym, zapożyczając to określenie na dom od pewnego filozofa.

Moim zdaniem do mieszkania w domu nie są potrzebne żadne skomplikowane meble. Ja wykozystałam np. podesty z desek pozostałych po budowie, do których zamontowałam kółka kupione za grosze, na wierzchu położyłam materace i w ten sposób mam miejsca do spania. Jeśli materac jest mniejszy niż podest, to leżąc mamy pod ręką jeszcze „stolik” do odłożenia książki. Nad głową mam lampę, która kosztowała trzydzieści parę złotych (zakup w Ikea), oświetla ona miejsce do

odpoczynku wieczornego. Czy potrzeba dużych środków, aby mieszkać wygodnie? Myślę, że nie.

Ten dom nie ma żadnych mebli konkretnych, stoły to zwykłe koziołki – najtańsze (też z Ikea). Są na nich blaty robocze, które zostały zmontowane z dwóch płyt z białego laminatu. Tak urządzona jest sypialnia-pracownia na poddaszu. Czasami okazjnie kupuję też meble z drugiej ręki, czasem nawet coś designerskiego. Tak znalazłam w sklepie z meblami z Zachodu kopie trzech stoliczków w typie Bauhaus. Były schowane tak, żeby nikt ich nie chciał i nie oglądał. Okazały się ślicznym elementem wyposażenia mojego salonu – trzy stoliki, każdy innej wielkości, mogące schować się jeden w drugi, o metalowej, ciekawej, a jednocześnie prostej konstrukcji, każdy ze szklanym blatem w innym kolorze: czerwonym, niebieskim i białym (kolory holenderskiego De Stijl). Inną zdobyczą są kopie Barcelony, dwa fotele, które w tym samym sklepie zostały przeze mnie odnalezione w masie rzeczy zupełnie z innej epoki. Kupiłam je jeszcze w czasie, gdy nie mówiło się o „meblach inspirowanych”, które dziś są tak bardzo popularne. Obok tych foteli zamiast ławy stoją trzy najprostsze stoliki (z Ikea) za przeceny – po 25 złotych). Stół w jadalni to upominek od siostry, czyli zestaw rurek projektu Eiermanna, na który została położona kolejna biała płyta laminowana. Forma ta działa korzystnie, ponieważ wewnątrz jest małe w rzeczywistości, a każdy autentyczny stół stanowiłby dużą kubaturę, która jednocześnie zajęłaby pewną przestrzeń, nawet jeśli nie fizycznie, to odbiór byłby zbyt pełny. Ponieważ nogi stołu to tylko cienkie rurki, wydaje się, że nie odbiera pokojowi powietrza i wszystko gra ze sobą.

Mieszkając wcześniej w bloku, czułam się odcięta od zieleni. W związku z powyższym marzyłam o tym, nawet mając bardzo małą działkę, gdzie mam tylko parę metrów dzielących mnie od sąsiadów, że „otworzę” tę przestrzeń i ją zagospodaruję. Nawet dwa, trzy metry zieleni – proste byliny czy skromne krzewy – to moje połączenie wnętrza z zewnątrz. Tak oto z jednej strony domu mam dwa okienka, a od strony południowo-zachodniej przeszklone powierzchnie. Gdy jeszcze pracowałam na pełnym etacie i latem wracałam do domu, pierwszą rzeczą, którą robiłam, było uchylenie drzwi od strony ogrodu. Miałam poczucie, że już jestem w ogrodzie, będąc jeszcze we wnętrzu. Szczególnie, gdy pada deszcz uwielbiam to, że przy otwartych drzwiach czuję go u siebie w domu. Po budowie zostało mi kilka desek, które przez kilka lat wykorzystywałam jako taras i mogłam wychodzić na zewnątrz bosą stopą. Moja sąsiadka dziwiła się, że sadzę tak prozaiczne krzewy. Kupowałam je, ponieważ były bardzo tanie i, pomimo swej prozaiczności, piękne same w sobie. Zmieniają się ich kolory w zależności od pory roku, rosną na naszych oczach, cieszą. Wystarczy, że mają inny odcień zieleni w stosunku do sosenki, która rośnie obok, czy byliny, która całe lato – do późnej jesieni – kwitnie. To już jest czymś dla mnie wyjątkowym. Moją pasją – i jedyną fantazją w ogrodzie – są tulipany. Wyszukuję cebulki tulipanów w sieciówkach. No i tych sto cebulek co roku czeka na wiosnę.

Gdy zaprosiłam moją mamę do domu, kiedy był jeszcze w stanie surowym, wzbudziło jej niezadowolenie to, że przecięłam przeszkleniami wewnątrz. Jej zdaniem nie będzie miejsca na meble w tak zaprojektowanej przestrzeni. Ale ja wiedziałam, że mebli za dużo nie będzie. Z kilku podstawowych powodów. Dom jest mały, więc dobrze sprawdzą się w nim zabudowane szafy. Nie będą one dosłownie widoczne, odbierane jako szafy, będą pewnymi elementami wnętrza, których my nie odczytujemy, bo z drugiej strony jest ściana, na której można powiesić obraz. Jak się okazało,



Fot. z archiwum Urszuli Madei

jest tu miejsce na kilka. Wisią prace mojej siostry i moje, praca mojego syna, którą zrobił z moją pomocą, gdy miał sześć lat. Teraz będą opowiadała prace Krzysia, mojego wnuka – sześciolatka, i mojej wnuczki Asi. Dom staje się w ten sposób domem prawdziwie rodzinnym. I nie jest ważne, czy ja umiem malować, czy też nie, ale jest to mój dom i to moje próby tworzenia jakiegoś przyjaznego dla mnie otoczenia. Na niedużej klatce schodowej prowadzącej na poddasze chcę zrobić galerię fotograficzną portretów rodzinnych. Są zdjęcia portretowe moje i mojej mamy, które zrobił nam kolega. Jest też w moim domu dużo książek w różnych miejscach. Leżą spokojnie i czekają na to, abym z różnych powodów po nie sięgała, czy szukając cytatu, czy przypominając sobie, czy oglądając je po raz kolejny. I to jest taki mały świat, który jest faktycznie spełnieniem marzenia na jawie. Myślę, że właśnie architekt powinien pokazywać, że dom nie wymaga od nas posiadania wokół luksusowych przedmiotów. Zupełnie nie o to chodzi. Wykreowanie atmosfery wnętrza, które jest przyjazne, z reguły odbiega od żurnalowych opracowań. Zauważmy, że piękne wnętrza z magazynów często nie mają książek, a jeśli je mają, to stoją one na pięknych designerskich półkach, na których tych książek mieści się mało. Dom to suma przypadkowych rzeczy, które bardzo lubimy, np. filiżanka, kolekcja sosjerek. Jeśli wystawimy sobie kilka drobnych rzeczy, które kojarzą się z konkretną przygodą życiową, np. wyjazdem z mamą do Gdańska i Torunia, sosjerką od przyjaciół, przywiezioną dla mnie z Berlina – dom będzie „szkatułką wspomnień”. To właśnie jest to coś, co ociepla surowość murów. U Anglików funkcjonują dwa określenia, które tłumaczmy wyrazem „dom” – house i home. Aby *house* – budynek – stał się *home* – domem, a więc nie tylko mieszkaniem w sensie fizycznym, dachem nad głową, a „kołyską”, która nas utuli, trzeba do budynku włożyć sumę emocji, z którymi nam się on kojarzy i które w niego lokujemy. Tak czynimy z domu swoje miejsce na ziemi, w którym czujemy się sobą. To moja prosta recepta na dom.

ELŻBIETA MIERZYŃSKA

Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka



ZA TALENT I SKRZYDŁA

Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka w Olsztynie zainaugurowało działalność 29 grudnia 2015 roku podczas uroczystego wieczoru, na którym wręczono wybranym artystom dwie nagrody, podkreślając tym, że organizacja jest kontynuatorem 10-letniej tradycji Fundacji Środowisk Twórczych. Związki tych dwóch organizacji określa fakt, że Stowarzyszenie powołała grupa osób, tworzących wcześniej fundację, a ta zamknęła działalność z końcem 2014 roku.

Stowarzyszenie, podobnie jak wcześniej fundacja, za główny cel aktywności uważa poszukiwanie i prezentowanie lokalnych talentów. Dostrzega bowiem potrzebę doceniania twórców, których tak często mamy prawie po sąsiedzku, obok, ale nie zawsze znamy ich z autorskiej pracy artystycznej lub nie potrafimy jej docenić, czasem zrozumieć, nie ma miejsca, okoliczności, może przekonania... Zdarza się, że dopiero wygrana w popularnym konkursie czy pojawienie się choćby na chwilę na ekranie telewizora powoduje, że uważniej zwracamy uwagę na pokazanego artystę i zaczynamy doceniać jego talent.

Logo stowarzyszenia wymyśliła artystka Małgorzata Śrutkowska-Felińska. Zaprojektowana przez nią ławeczka natychmiast przypadła do gustu ludziom ze stowarzyszenia, wywołując skojarzenia z miejscem, w którym czekamy na sympatyczne spotkanie. To był początek.

NA FINAŁ ROKU

Fundacja w czasie swojej 10-letniej działalności nagrodziła ponad 50 artystów. Stowarzyszenie w ciągu 4 lat nagrodziło kolejnych 19. Oprócz kategorii nagrody Talenty Roku, stowarzyszenie utworzyło też dodatkową nagrodę – Uskrzydleni. Tym tytułem wyróżnia osoby, które rozwijają nie tylko swój talent, lecz także przekazują artystyczną pasję innym osobom, zwiększając tym potencjał twórczy otoczenia.

Statuetki dla nagrodzonych wykonuje własnoręcznie olsztyńska artystka Ewa Letki, co roku tworząc odrębny symbol wizualny tej nagrody. Rokrocznie fundatorem jednej z nagród jest Prezydent Olsztyna. Nagrody wręczane są w grudniu i stanowią miłą niespodziankę na finał roku.

LAUREACI NAGRÓD TALENTY ROKU I USKRZYDLENI

W roku 2015:

Łukasz Jędrys, wokalista i kompozytor piosenki artystycznej
Grupa „Zielone Ludki” – zespół muzyki nowej z Działdowa

W roku 2016:

Damian Borkowski – tenor, solista, prezes Olsztyńskiego Chóru „Bel Canto”
Aleksandra Lemańska i Paweł Kisiel – duet animatorów kultury w Mrągowie i Pieckach
Rafał Majek – gitarzysta, który dostał się na studia do Akademii Muzycznej w Katowicach z pierwszą lokatą przed ukończeniem szkoły II stopnia

W roku 2017:

Renata Buczyńska – poetka, współtwórczyni Działdowskiej Kuźni Słowa
Natalia Skowrońska-Iwańczyk – artysta plastyk
Dawid Dziarkowski – młody aktor teatralny
Łukasz Budziak, pseudonim sceniczny Dr King – multiinstrumentalista
Łukasz Staniszewski – literat
Agnieszka Kotowska – grafik designer

W roku 2018:

Marta Chyła-Janicka – reżyserka, scenarzystka, nagrodzona w USA w kategorii animowanego filmu krótkometrażowego
Iga Bielak-Andrzejczyk – 15-letnia tancerka z grupy Pryzmat, solistka
Marcin Piotrowicz – artysta wszechstronny (grafika, muzyka, śpiew)
Magdalena Faszczka – teatrolog, tancerka, animatorka kultury tanecznej (flamenco, burleska, salsa) i współorganizatorka znanego Festiwalu Baba Fest w Olsztynie
Michalina Janyszek – poetka, blogerka, popularyzatorka Olsztyńskiego Klubu Literackiego
Mateusz Cwaliński – multiinstrumentalista, wirtuoz w grze na akordeonie
Justyna Kędzińska – twórczyni lalek autorskich

DUŻE SPOTKANIA W MAŁYM KLUBIE

Oprócz gali wręczania nagród, która odbywa się zawsze w grudniu, stowarzyszenie jest także organizatorem wystaw. Nie dysponując własną galerią, urządza je w życzliwym sprawie Klubie „U Artystów” przy ulicy Kofłątaja w Olsztynie w centrum starówki. Wnętrze lokalu zdobyły prace wielu artystów, takich jak: Elwira Iwaszczyszyn, Małgorzata Śrutkowska-Felińska, Henryk Cirut, Ewa Letki, Natalia Skowrońska-Iwańczyk, Ewelina Przewodowska-Ryłka, Vera Kobylńska, Zofia Barankiewicz, Bożena Kraczkowska, Seweryn Lipiński, Anna Maciąg, Agnieszka Kotowska – obecnie w przygotowaniu wystawa malarstwa Urszuli Dudko, jej obrazy będą ekspozycją na wakacje 2019.

Wystawy stawały się także pretekstem do zorganizowania wieczorów artystycznych,

a nawet jubileuszy. Mimo że lokal jest architektonicznie trudny w stosunku do potrzeb na takie wieczory, to spotkania cieszą się dużym zainteresowaniem. Wśród nich parokrotnie oklaskiwano znanego dziennikarza, poetę i tekściarza Władysława Katarzyńskiego, słuchano koncertów Tadeusza Macheli, Dr King sprowadził tu bębniarzy, a wieczór jubileuszowy Bożeny Kraczkowskiej wzbogaciła obecność sceniczna aktorki Marty Andrzejczyk, muzyka Cezarego Makiewicza oraz ilustratorki Marjeli Flow. Grali tu też na gitarze Elżbieta Pliszka, Mateusz Iwaszczyszyn i Krzysztof Zawistowski, a wernisaż malarstwa Ewy Letki ubarwiła krótkim recitalem Aga Symolon. Były też trzy wieczory z recitalami piosenek ze światowych list przebojów w wykonaniu Tatiany Krakowskiej, która wystąpiła wprost na ulicy przed klubem.

TACY JAK ONI

Stowarzyszenie przedstawiło władzom samorządowym propozycję nagradzania zespołów i artystów, których dorobek zasługiwał na ich specjalne uhonorowanie, takich jak Big Day, Shannon, Władysław Katarzyński czy Mietek Folk.

Za duży organizacyjny sukces stowarzyszenie uważa zgłoszenie wniosku do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o przyznanie medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis Januszowi Połomowi za wieloletnią działalność artystyczną i dydaktyczną w dziedzinie filmu i fotografii. Podczas wręczania tego odznaczenia w październik 2018 r. do filmu „Gesty na lesie” Janusza Połoma autorską kompozycję muzyczną wykonali Elżbieta i Andrzej „Andymian” Mierzyńscy. Osiągnięciem stowarzyszenia jest także uzyskanie wsparcia finansowego z Fundacji Santander Bank Polska S.A. na wydanie dwóch albumów fotograficznych Henryka Ciruta, który słynie z niezwyklej aktywności wystawienniczej.

Dynamikę stowarzyszenia oraz klimat współpracy – nawet w trudnych warunkach – budują wszyscy członkowie tej organizacji. W zarządzie zasiadają: Elżbieta Mierzyńska (prezes), Ewa Letki (wiceprezes), Beata Bogusz (skarbnik), Bożena Koper (sekretarz), Janusz Połom

(członek zarządu). Pozostali członkowie: Hanna Czech (przewodnicząca komisji rewizyjnej), Piotr Pancer (komisja rewizyjna), Piotr Obarek (komisja rewizyjna), Tomasz Śrutkowski, Małgorzata Śrutkowska-Felińska, Robert Lesiński, Andrzej „Andymian” Mierzyński, Henryk Cirut, Tomasz Żurawlew. W tym roku stowarzyszenie z bólem pożegnało jednego z członków stowarzyszenia – Tadeusza Machele.

Członkowie stowarzyszenia są aktywni twórczo – Henryk Cirut w ciągu ostatnich 4 lat miał aż 31 wystaw indywidualnych swoich fotografii; Tomasza Śrutkowskiego zajmują kolejne publikacje, współpraca ze środowiskiem twórców filmowych, udział w kapitułach nagród; Ewa Letki oprócz uprawiania własnej sztuki, zajmuje się edukacją plastyczną dzieci i młodzieży; Piotr Pancer menedżersko wspomaga grupy Big Day i Shannon; prace dydaktyczne na uniwersytecie prowadzi Janusz Połom (dodatkowo współpracuje ze środowiskiem filmowców), Piotr Obarek i Tomasz Żurawlew. Robert Lesiński nie tylko z obowiązków radiowca interesuje się kulturą regionu. Elżbieta Mierzyńska jest stałym współpracownikiem Polskiego Radia Chicago, a z mężem, muzykiem i kompozytorem Andrzejem „Andymianem” Mierzyńskim, realizuje projekty wizualno-muzyczne, jedne z ostatnich (grudzień 2018) to połączenie koncertu z pokazem mody koronkowej Barbary Cały i kolejny z pokazem tańca solowego Igi Bielak-Andrzejczyk (luty 2019). Małgorzata Śrutkowska-Felińska jest nie tylko malarzką, lecz także grafiką redakcyjną i zadeklarowaną całym sercem miłośniczką zwierząt. Dla wszystkich członków stowarzyszenia działalność w kulturze i sztuce jest wyborem życiowym ludzi wolnych, oddanych swojej pasji, nie znoszących barier. Wszyscy w stowarzyszeniu pracują społecznie, budżet organizacji nie pęka w szwach, bo jakoś dotąd nie widać mody na sponsoring w kulturze, przesze brakuje w domu półek na segregatory... a mimo to na brak pozytywnej energii tu się nie narzeka. Opiekę od strony prawnej nad stowarzyszeniem sprawuje mecenas Andrzej Kurowski – prawnik pro bono. Życzliwym miejscem systematycznych spotkań jest olsztyński klub „U Artystów”. Zapraszamy do kontaktu (znajdziecie nas na FB)!



Fot. z archiwum SPKIS

WERONIKA CHWORAK, studentka filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym UWM Z drogi, ludzie, Pogotowie Językowe nadjeżdża!

Szybko, wyczerpująco i bezpłatnie – tak specjaliści z Instytutu Polonistyki i Logopedii UWM w Olsztynie udzielają odpowiedzi na pytania dotyczące poprawności językowej. W Dajtkach czy na Dajtkach, Prezydent Miasta Olsztyna czy Prezydent Miasta Olsztyn? Nie ma tygodnia bez pytań o zawitości języka polskiego. Jak to się stało, że skromny projekt kilku językoznawców jest znany w całym regionie?

Już ponad rok funkcjonuje Pogotowie Językowe działające przy Instytucie Polonistyki i Logopedii UWM w Olsztynie. To inicjatywa kilkorga językoznawców, pierwsza tego typu w regionie. Ci, którym gramatyka, ortografia lub stylistyka języka polskiego spędzają sen z powiek, mogą odnaleźć w końcu pomoc. Specjaliści udzielili już ponad 150 odpowiedzi na przysłane pytania, a wśród osób zaciekawionych językiem polskim mają już swoich wiernych fanów.

Poradni językowych w Polsce do 13 listopada 2017 roku było sześć, do tego czasu na Warmii i Mazurach nie było żadnej. Codziennie spotykamy się z masą pytań dotyczących poprawnego mówienia oraz pisania w języku polskim. Polacy

chcą mówić poprawnie, a Pogotowie Językowe chce im w tym pomóc. Do poradni zgłaszają się osoby w różnym wieku i o różnych zainteresowaniach. To nie tylko humaniści, ale również osoby pracujące w dziale wizerunku czy marketingu instytucji, a nawet uczniowie szkół podstawowych i liceów.

W pytaniach górują te dotyczące odmiany, składni i ortografii. Specjaliści dostają również sporo wiadomości z prośbą o odpowiedź w odmianie nazwisk czy ocenie poprawności połączeń wyrazowych; pojawiają się także pojedyncze pytania dotyczące wymowy, historii języka, stylistyki czy etykiety językowej. – Zdarzają się również zgłoszenia nietypowe, np. jak tworzyć nazwy własne w powieściach fantasy czy jak najlepiej sformułować pytania do gry dla dzieci – objaśnia mgr Katarzyna Witkowska, koordynatorka ds. promocji pogotowia.

Z usług pogotowia można bezpłatnie skorzystać, zadając pytanie poprzez formularz zawarty na stronie internetowej: www.polonistyka-uwm.wixsite.com/pogotowie-jezykowe lub wysyłając wiadomość na adres e-mail: pogotowie.jezykowe.olsztyn@gmail.com.



Rys. z archiwum Pałacu Młodzieży w Olsztynie

MONIKA NADOLSKA Pomaganie jest modne

W mniejszym bądź większym stopniu wszyscy pomagamy. Czy to rodzicom, chłopakowi, siostrze, znajomym czy sąsiadce. Bierzymy udział w akcjach zbierania pieniędzy na chore dziecko albo robimy paczki dla potrzebujących. Czasami nasza pomoc sięga o wiele dalej i pomagamy osobom w krajach ogarniętych wojną czy innymi klęskami. Tu już pomoc jest często trudniejsza i wymaga od nas więcej zaangażowania. Niemniej jednak próbujemy, w miarę swoich możliwości, dorzucić swoją cegiełkę. I to się chwali. Dobrze, że taki typowo ludzki odruch nie wygaś.

W dzisiejszych czasach wydaje się, że słowo „humanitaryzm” zaczyna być coraz bardziej popularne i przypinane do każdego w miarę znanego nazwiska. Bo pomaganie jest cool i najlepiej, żeby jak najwięcej osób o tym wiedziało. Nieistotna jest pomoc sama w sobie, tylko rozgłos, jaki ze sobą niesie. Jeszcze dobrze, o ile taki rozgłos cokolwiek pomoże. Bo nie zaprzeczam, czasami dzięki odpowiedniemu nagłośnieniu sprawy media mogą bardzo pomóc. Jeśli informacja dotrze do większej liczby osób, wywrze silniejszą presję i przyspieszy rozwiązanie problemu. Ale nie o rolę mediów tutaj chodzi. Odnoszę wrażenie, że pomaganie często schodzi na drugi plan. Kiedy widzę te wszystkie programy i artykuły o tym, jak ktoś uważa za słusne podzielenie się swoim „nowo odkrytym humanitaryzmem” z całym światem, odczuwam niesmak i rozczarowanie.

Są jednak jeszcze ludzie, którzy potrafią pomagać bezinteresownie i nie w błysku fleszy. Daniel Kasprovicz – młody, 29-letni, skromny chłopak z Mazur, misjonarz świecki, absolwent dietetyki. Od kilku lat regularnie udaje się na Madagaskar, gdzie pomaga okolicznej ludności. Opiekuje się chorymi i niedożywionymi, angażuje się w pomoc dzieciom z domu dziecka Kilasymandry, a także potrzebującym z kliniki „Flamboyant”. Wygłosił szereg wykładów (również za granicą – w Australii, Belgii i Kolumbii) i pogadanek na temat głodu na świecie. Dotąd wydał dwie książki, które w niewielkim stopniu oddają to, czym się zajmuje na tej pięknej, ale jednak biednej wyspie. Opisuje zarówno swoje małe sukcesy, jak i bardzo trudne chwile. Przedstawia także historie kilku swoich podopiecznych. Robi to w tak ciekawy sposób, że ma się wrażenie, że każda opisywana przez niego osoba, to ktoś nam bardzo dobrze znany, sąsiad z domu obok. Dochód ze sprzedaży tych książek młody misjonarz przeznaczył na program walki z głodem. Udzielił kilku wywiadów do mniej komercyjnych stacji, ale nie zabiera ze sobą całej ekipy filmowej, żeby każdy mógł podziwiać

jego pracę i poświęcenie. Motto Daniela jest bardzo proste: „[...] czerp z życia garściami i pamiętaj, by dzielić się tym, co otrzymujesz. Kolekcjonuj wspomnienia, nie rzeczy. Zawieraj przyjaźnie, nie umowy. Nie bój się pomagać, bo dobro zawsze powraca” (Kasprovicz D., *Hazo Mena. O marzeniach z Czerwonej Wyspy*, str. 358).

Oczywiście, mamy wiele organizacji rządowych i pozarządowych, których celem jest właśnie niesienie pomocy potrzebującym, takich jak np. Polska Akcja Humanitarna (PAH) – działająca od 1992 roku. Ale każdy z nas może mieć w tym swój udział. Myślę, że humanitaryzm zaczyna się już od drobnej pomocy ludziom z najbliższego otoczenia. Ostatecznie to nie setki zdjęć i lajków się liczą, a uśmiech i wdzięczność osób, którym ofiarowało się swoje wsparcie. A one są bezcenne.



Rys. z archiwum Pałacu Młodzieży w Olsztynie

ANNA RAU

Wielki znany nieznany

Oto dowód, że w istocie wiedza i sława są bardzo ulotne, skoro pamięć o jednym z ważniejszych w swoim czasie polskim dyplomacie, zaufanym królów, historyku, dostojniku Kościoła i poczytnym pisarzu niemal przeminęła. Bo czym jest patronat ulicy w kilkunastu miastach, cóż znaczy obecność dzieł historiograficznych w zbiorach wszystkich większych polskich bibliotek i jakie znaczenie mają wykłady lub artykuły powstające z okazji jakiejś rocznicy czy konferencji, skoro rzeczywista pamięć wśród obywateli kraju, któremu ów człowiek służył najlepiej, jak umiał, nie przetrwała. Nadmierne dramatyzowanie? Zostaje tylko jedno – zakład, ilu losowo wybranych na ulicy ludzi na pytanie „Kim był Marcin Kromer?” będzie umiało odpowiedzieć choć dwa słowa¹. A wszak Kromer zasłużył na więcej – o wiele, wiele więcej.

Ale najpierw o tym, jak to się stało, że człowiek urodzony w Bieczu (woj. małopolskie) został osobistością Warmii. Marcin Kromer urodził się 11 listopada 1512 r., za panowania Zygmunta Starego. Pochodząc z mieszczańskiej rodziny (jakkolwiek matka była szlachcianką), zapewne za młodu nie spodziewał się, w jak wysokie progi uda mu się zejść i jak daleko zaprowadzi go jego kariera. Po ukończeniu nauki w Akademii Krakowskiej jako bakałarz sztuk wyzwolonych pozostał w stolicy, uzyskując pracę notariusza w kancelarii królewskiej, co udowodnia, iż musiał wyróżniać się wśród absolwentów krakowskiej uczelni. Można się też domyślać, że był głodny wiedzy, a jego „pracodawca” uznał go za obiecującego, skoro posłano go na dwuletnie studia do Padwy i Bolonii, co zakończyło się uzyskaniem tytułu doktora obojga praw. Po powrocie do Krakowa Kromer został sekretarzem możnego arcybiskupa Piotra Gamrata, a wkrótce też (1542) – zapewne widząc dla siebie jeszcze szersze perspektywy – przyjął święcenia kapłańskie. Od tego momentu jego kariera potoczyła się lawinowo, nie tylko w Kościele. Kromer został bowiem proboszczem w rodzinnym Bieczu, w latach 1543-1544 jeździł jako poseł do Rzymu, uzyskał tytuł kanonika krakowskiego i kieleckiego (1544 r.), a ostatecznie został też kustoszem w szacownych ośrodkach religijnych w Wiślicy i Sandomierzu. Po śmierci Gamrata w 1545 r. Kromer został sekretarzem króla Zygmunta Augusta i dzięki temu zaczął też współpracować z Samuelem Maciejewskim,

późniejszym wielkim kanclerzem koronnym (jak widać, duchowny rzeczywiście mógł uczestniczyć w sprawach i decyzjach najwyższej wagi). Wówczas też rozpoczął działania na rzecz naprawy Akademii Krakowskiej, podjął również starania o sprowadzenie jezuitów do Polski i powierzenie im zadania szerzenia oświaty publicznej. Ponadto – jako że uważano go za specjalistę „do spraw pruskich” – w 1551 r. otrzymał kanonię warmińską i w ten sposób wszedł w poczet „sławnych postaci naszego regionu”. Odtąd często bywał w siedzibie kanoników w Lidzbarku Warmińskim, gdzie zaczął też współpracować z możliwym i sławnym duchownym tamtego czasu, kardynałem Stanisławem Hozjuszem, choć w pewnych kwestiach różnili się od siebie poglądami. W rok później król obdarzył Kromera szlachectwem (w herbie półorle przepasane wieńcem laurowym) w dowód uznania dla jego prac historycznych. Może również dzięki temu duchowny mógł w latach 1558-1564 ponownie wykazać się talentem dyplomatycznym, będąc stałym polskim posłem na dwór cesarza. To właśnie Kromer negocjował u cesarza Ferdynanda w Wiedniu małżeństwo jego córki Katarzyny i owdowiałego po Barbarze Radziwiłłównie Zygmunta Augusta. I to właśnie z tamtego czasu pozostały dowody na lotny i niepospolity umysł duchownego, jak również na jego śmiałość i nawet pewną skłonność do ryzyka, w postaci zapisanych krótkich dialogów między cesarzem a Kromerem. Błyskotliwie wymijające odpowiedzi uczyniły kanonika jednym z ulubieńców cesarza. Można również dodać, że jako poseł zwiedził też liczne miasta, jak choćby Ratyzbone, Frankfurt nad Menem, liczne grody należące do Hanzji, Trydent, Danię i Szwecję. Kromer – m.in. dzięki temu obyciu – miał niezwykle szerokie horyzonty i podzielał zdanie króla w kwestii tolerancji wobec pochodzenia i religii polskich obywateli. Zarówno monarcha, jak i jego dyplomata (mimo stanu kapłańskiego oraz zasłużonego miana opoki kontrreformacji) byli pewni, że brak akceptacji dla odmienności narodów składających się na Rzeczpospolitą spowodowałby wybuch wojen religijnych – tak jak się to stało choćby w Niemczech, co najprawdopodobniej zakończyłoby się nie tylko zniszczeniem, lecz także i rozpadem kraju. Mając 58 lat, 2 czerwca 1570 r., Kromer stał się koadiutorem biskupstwa warmińskiego, zastępując samego kardynała

Hozjusza, w 9 lat później zaś – biskupem całej diecezji, choć trzeba zaznaczyć, iż tak kapituła, jak i stany pruskie protestowały przeciw temu, nazywając go „przychodniem”. Nie były to jednak jedyne zarzuty kierowane w stronę Kromera – niektórzy zwali go Niemcem lub też wypominali pochodzenie mieszczańskie. Mimo to po śmierci Hozjusza, 5 sierpnia 1579 r., bardzo energicznie objął władzę nad diecezją: zaczął wizytować parafie, fundować polskie kaplice, starał się też rozwijać oświatę, handel i rzemiosło na Warmii oraz przeprowadził trzy synody diecezjalne, doprowadzając do reformy ksiąg liturgicznych. Dzięki Kromerowi powstały wówczas pierwsze mapy naszego regionu, on też zatwierdził regułę rodzimego zakonu żeńskiego założonego w Braniewie przez bł. Reginę Protmann, czyli katarzynek. Biskup nie zaprzestał też dbałości o swoją pasję, czyli naukę – znacząco powiększył zbiory lidzbarskiej biblioteki zamkowej (m.in. sprowadzając rękopis Galla Anonima). Ufundował też zakład wychowania panien pod dozorem zakonnic oraz... epitafium Mikołajowi Kopernikowi. Przy czym tego ostatniego nie uczynił wyłącznie z urzędowego obowiązku – musiał bowiem od dawna cenić kanonika-astronoma, skoro to jemu poświęcił jedno ze swoich pierwszych dzieł, traktat o muzyce, czyli *Musicae elementa*. Kromer zmarł w swojej siedzibie w Lidzbarku Warmińskim 23 marca 1589 r., w wieku 77 lat, przekazując cały swój majątek na cele charytatywne, oświatowe i kościelne, i został pochowany w miejscowej katedrze. Spis dóbr po nim pozostałych, czyli nieruchomości i pieniędzy, podał, iż biskup był niezwykle zapobiegliwym gospodarzem – pozostawił po sobie 60 tysięcy marek w gotowiznie, na zamkach biskupich 80 łasztów żyta, 22 pszenicy, 58 owsa, a oprócz tego wiele srebrnych i złotych naczyń. Część z tego przypadło jego krewnym, najwięcej zaś kościołom we Fromborku, w Krakowie, Bieczu, Wiślicy i Kielcach. Okazało się też, że wcześniej, gdy jeszcze był kustoszem w Sandomierzu i sekretarzem króla (ok. 1569 r.), założył wieczysty fundusz dla studentów z Biecza, uczących się w Krakowie. Wiadomo też, że łożył na odbudowę niszczonej murów swojego rodzinnego miasta. Kromer okazał się więc autentycznym filantropem swoich czasów. A co i jak pisał? Jego praca literacka zaczęła się dość wcześnie, gdyż jeszcze jako świecki notariusz, tuż po ukończeniu Akademii, zajmował się przekładami prac Arystotelesa i Cyserona, sam zaś uprawiał poezję w języku łacińskim. Powstały wtedy m.in. *Consolatio Joh. Choinio Epis. Premysl. in mortem patris scripta, Deliberatio Lucretiae pat vim Tarquinii, Poema de Christi resurgentis triumpho, Poema de adversa raletudine Sigismundi I*, choć – jak to określił Lucjan Siemieński² – „wszystko to poszło w zapomnienie”. Kromer stworzył również dwa dzieła dotyczące teorii muzyki, jedno z pierwszych z tego

zakresu w Polsce, wspomniane wcześniej *Musicae elementa* (Kraków, 1532) oraz *De musica figurata liber posterior* (Kraków, 1534 i 1539), następnie zaś *Martini Cromeri Sermo de tuenda dignitate sacerdotii i Petricoviae in Synodo habitus* (Kraków, 1542). Prawdziwie europejską sławę natomiast przyniosło mu wydanie w 1541 r. odkrytych w Bolonii siedmiu eklog św. Jana Chryzostoma. Wkrótce potem duchowny napisał również biografię Zygmunta Starego ujętą w formę mowy pogrzebowej (*Oratio Martini Cromeri in funere optimi & maximi principis, Sigismundi, eius nominis primi Polonorum, Lituatorum, Russorum, Prussorum, & Masoviorum Regis etc.*; Kraków 1548). Wielki moment w karierze Kromera nastąpił paradoksalnie podczas prozaicznego porządkowania Archiwum Koronnego – czym zajmował się jako sekretarz króla – napisał wówczas *Specimen Codicis diplomatici*, wkrótce zaś potem *O pochodzeniu i czynach Polaków ksiąg trzydzieści (De origine et rebus gestis Polonorum, libri XXX)*, wydanego w Bazylei (1555). Publikacja musiała być niezwykle popularna, skoro opublikowano ją potem jeszcze trzykrotnie (1558, 1564 i 1568), a następnie też w Krakowie (1584) oraz w Kolonii (1589). Kromer napisał ją elegancką, klasyczną łaciną, wolną od manieri łaciny średniowiecznej, zyskując tym sławę wybitnego pisarza łacińsko-polskiego o stylu wykwiintnym, czyli klasycznym. „Styl ma gładki, iasny y wysoki: Polszczyzna w nim czysta, niezarażona bynajmniej słowy obcemi³. I dalej: „styl Kromera poważny i obfity, równy i dobrze utrzymany, celuje rządym i układnym szykiem, wytwornością ozdób, doborem wyrazów i harmonijną okresów wymową⁴. Kolejnym i chyba najsztywniejszym dziełem Kromera było *Polska, czyli o położeniu, obyczajach, urządach Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego (Polonia, sive de situ, populis, moribus, magistratibus, et republica regni polonici)*, stanowiące rodzaj przewodnika lub leksykonu wiedzy o naszym kraju – o prawie, ustroju oraz mieszkańcach i ich obyczajach. Jak to określił Siemieński⁵, były w nim „ustępy charakteryzujące moralny stan narodu, tak trafnie, tak głęboko zchwycone, że i dziś, radzi nie radzi, musimy przyznać, żeśmy się nie wiele od portretu przed trzystu laty zrobionego odmiennili”. Twierdzenie, iż

2. Siemieński Lucjan, Marcin Kromer (1512-1589), [w:] *Portrety literackie*, Poznań, Księgarnia Jana Konstantego Zupańskiego, 1865 [https://pl.wikisource.org/wiki/Marcin_Kromer_\(Siemie%C5%84ski,_1865\)](https://pl.wikisource.org/wiki/Marcin_Kromer_(Siemie%C5%84ski,_1865)) (dostęp: kwiecień 2019 r.)

3. Zbiór dziełopisów polskich we czterech tomach zawarty. Tom trzeci. Kronika Marcina Kromera, biskupa warmińskiego na język polski przetłumaczona przez Marcina Błażowskiego <https://books.google.pl/books?id=DPUvAAAAYAAJ&pg=PP13&lpg=PP13&dq=marcin+kromer&source=bl&ots=OXLUbqNNs1&sig=ACfU3U2upNS33dMyppG27kefatAPaDRyw&hl=pl&sa=X&ved=2ahUKEwjNpuPctubhAhVCHIAKHJdC0I4ZBDoATAHegQICRAB#v=onepage&q=marcin%20kromer&f=false> (dostęp: kwiecień 2019 r.)

4. Starnawski Jerzy, Wstęp [w]: *Kromer Marcin, Mowa na pogrzebie Zygmunta I oraz O pochodzeniu i o dziejach Polaków, księgi XXIX i XXX*, Olsztyn, „Pojezierze”, 1982, s. XXIV.

5. Siemieński, dzieło cyt.

1. Może poza Lidzbarkiem Warmińskim i Bieczem.

księga powstała specjalnie dla nowo obranego króla Henryka Waleczusa, aby lepiej poznał kraj, którym miał rządzić, trudno potwierdzić, choć nie jest do odrzucenia. Jednocześnie Kromer, niejako odciągając od zainteresowań historycznych, ale pełniąc odpowiednią swemu stanowi rolę, tworzył też pisma kontrreformacyjne, polemiczne z tezami innowierców. Pisał je po polsku, aby skuteczniej dotrzeć do swoich słuchaczy – i mimo królujących w Polsce renesansowych tendencji stanowiło to rodzaj rewolucji, łacina wszak nadal królowała w ważniejszych pismach i mowach. Antyreformacyjne dzieła Kromera to choćby *Rozmowy mnicha z dworzaninem*, które następnie wydano (1551-1554) po łacinie (jednak!) i po niemiecku w czterech osobnych traktatach o tytułach: *Dialog o wierze i nauce luterskiej*, *Czego się chrześcijański człowiek dziurzyć ma?*, *O kościele Bożym i O nauce kościoła*. Pomniejsze jego dziełka należą do bibliograficznych rzadkości, co do niektórych z nich nawet zachodzi wątpliwość, czy kiedykolwiek istniały (dot. to *De concertibus musicis*, *De rebus Moscoviticis De tumultu Gedanensi*, *Vita Stanisłai Ortchovii*). W bibliotece zamku w Lidzbarku pozostała za to po nim bogata korespondencja – m.in. do Hozjusza, Dantyszka i Tidemana. Jako koadiutor Hozjusza Kromer napisał dla własnej diecezji katechizm po polsku i po niemiecku (*Catecheses sive Institutiones duodecim de septem Sacramentis & sacrificio Missae & de funebribus exequiis: ad utilitatem parochorum & aliorum Sacerdotum, in Polonicam Germanicamque linguam conversae* Kraków, 1570, 1571). Ostatnim jego dziełem był romans ludowy *Historja prawdziwa o przygodzie żalosznej księżniczki finlandzkiego Jana i królowy polskiej Katarzyny* (wydana anonimowo w 1570 r. po łacinie i w języku polskim), dzięki czemu Kromer stał się prekursorem polskiej powieści historycznej.

Czy można powiedzieć, że życie Kromera przypomina biogram „każdego znacznego uczonego w renesansowej Polsce”? Nie do końca. Kromer bowiem, będąc z pochodzenia mieszczaninem, dokonał rzeczy wówczas arcytrudnej – dzięki swej wiedzy i nieprzeciętnemu umysłowi zyskał szlachectwo. We wszystkich swoich poczynaniach wkładał wiele wysiłku w rozwój nauki polskiej, a nie tylko spraw związanych z wiarą i religijnością jak na duchownego przystało. Ponadto jego pasja historyczna i znakomite władanie piórem tak bardzo imponowały humanistom i władcom w Polsce oraz za granicą, że przyniosło to warmińskiemu duchownemu stawę i miano „polskiego Liwiusza”. Kromer był więc po prostu człowiekiem nieprzeciętnym i posiadał niezwykle szerokie horyzonty. „Znać iednak, iż był człowiekiem wielce uczonym y biegłym w Dziejach Oyczystych”⁶. Tylko tyle? Spójrzmy jeszcze raz... Ambitny, pracowity, wykształcony? Dobroczytny, zaangażowany, energiczny? Bystry, dyplomatyczny,

niepozostawiający obojętnym? Zastużył na wszystko z dodatkiem określenia „niezapomniany”.

Bibliografia:

1. Kromer Marcin, *Historja prawdziwa o przygodzie żalosznej księżniczki finlandzkiego Jana i królowy polskiej Katarzyny*, oprac. Janusz Mattek, Olsztyn, „Pojezierze”, 1974.
2. Kromer Marcin, *Mowa na pogrzebie Zygmunta I oraz O pochodzeniu i o dziejach Polaków, księgi XXIX i XXX*, wstęp, przekł. i oprac. Jerzy Starnawski, Olsztyn, „Pojezierze”, 1982.
3. Kurołczyk Szczepan, 430. rocznica śmierci biskupa Marcina Kromera (23 III 1589), <https://radzy-ninfo.pl/historia/430-rocznica-smierci-biskupa-marcina-kromera-23-iii-1589/> (dostęp: kwiecień 2019 r.).
4. Siemieński Lucjan, Marcin Kromer (1512-1589) [w]: *Portrety literackie*, Poznań, Księgarnia Jana Konstantego Żupańskiego, 1865 [https://pl.wikisource.org/wiki/Marcin_Kromer_\(Siemie%C5%84ski,_1865\)](https://pl.wikisource.org/wiki/Marcin_Kromer_(Siemie%C5%84ski,_1865)) (dostęp: kwiecień 2019 r.).
5. Świątkiewicz Wojciech, *Bp Marcin Kromer*, „Niedziela” edycja warszawska (st.) 13/2002, <https://www.niedziela.pl/artykul/5722/nd/Bp-Marcin-Kromer> (dostęp: kwiecień 2019 r.).
6. Wysocki Marcin, *Marcin Kromer – polski Liwiusz? Czyli rzecz o stylu Kromerowej historii*, „Roczniki Humanistyczne”, Tom LXI, zeszyt 3, 2013, <http://czasopisma.tnku.pl/index.php/rh/article/viewFile/4837/4934> (dostęp: kwiecień 2019 r.).



Rys. z archiwum Pałacu Młodzieży w Olsztynie

6. Siemieński, dzieło cyt.

WERONIKA CHWORAK, studentka filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym UWM

Humanitaryzm – cztery znaczenia, jedno słowo

Większość osób, słysząc słowo humanitaryzm, odpowie, że jest to postawa człowieka empatycznego, który chce oszczędzić cierpień bliźniemu czy zwierzętom. Jest to słuszne stwierdzenie, ale sam humanitaryzm skrywa w sobie jeszcze więcej.

W pierwszej połowie XIX wieku we Francji powstał kierunek społeczny, którego termin wywodzi się od pisma „Journal humanitaire”. Jest on połączony przede wszystkim z egalitaryzmem, tj. poglądem społeczno-politycznym, który za podstawę prawa przyjmuje uznanie całkowitej równości pomiędzy ludźmi pod względem społecznym, politycznym oraz ekonomicznym. Humanitaryzm występuje w ideologiach wielu systemów politycznych, chociaż różni się on sposobem realizacji, podobnie jak jego rozumieniem. Dlatego również powstała zasada humanitaryzmu, która jest jedną z naczelných zasad prawa karnego oraz prawa karnego wykonawczego. Według niej kary i środki prawne powinny być stosowane z uwzględnieniem zasad humanitaryzmu, a przede wszystkim z poszanowaniem godności człowieka. W sposób humanitarny, to znaczy taki, który nie będzie obraźliwy dla osoby, należy wykonywać orzeczone kary (w tym kary śmierci) oraz stosować środki karne i środki zabezpieczające (jeśli sprawca jest niepczytalny). Zakazane są przede wszystkim tortury oraz inne poniżające traktowanie i kary. Zasadę humanitaryzmu mamy zapisaną w Konstytucji RP (art.40) oraz w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Podstawowych Wolności (art.3).

Humanitaryzm to również kierunek oświeceniowej filozofii, z której narodziła się szkoła humanitarna. W tamtym okresie walczone o reformę ustawodawstwa. Wtedy jej program dotyczył przede wszystkim bezprawia i okrucieństwa systemów karania. Narodził się on przez ostrą krytykę dotychczasowego prawa. Prekursorem szkoły był Monteskiusz, do którego później dołączył Voltaire oraz Beccaria. Ostatni z nich napisał *O przestępstwach i karach* – dzieło, które następnie zostało okrzyknięte „kodeksem uczuć ludzkich”. Natomiast Voltaire był za wprowadzeniem tolerancji religijnej w Europie. Udowadniał, że w sprawach dotyczących przestępstw na tle nietolerancji religijnej znajdują się błędy sądowe. Ponadto wykazywał, że sądy często skazywały ludzi niewinnych na karę śmierci. W tamtym czasie uważano, że sprawy religijne mogą mieć wpływ jedynie na moralność człowieka, a nie mogą być stosowane jako

uzasadnienie wyroku. Dlatego głównym celem humanitarystów była resocjalizacja przestępców wynikająca z braku akceptacji kary śmierci. Za najlepszy i najsukuteczniejszy sposób oddziaływania uznali karę pozbawienia wolności, a w szczególności jeśli była ona połączona z obowiązkiem pracy. Tortury psychiczne i fizyczne uznawano za nieludzkie, ponieważ naruszały ciało człowieka i jego godność. W Polsce idee zostały szybko i dosyć łatwo przyjęte. Do czołowych postaci humanitaryzmu w Polsce zalicza się Hugo Koftąta czy Teodora Ostrowskiego. To właśnie ich publikacje były podstawą Konstytucji 3 maja. Postulowali oni przede wszystkim: dziedziczość tronu, zniesienie liberum veto czy ogłoszenie praw dla mieszczan.

Humanitaryzm często myli się również z humanizmem, ale nie mogą siebie nawzajem skreślać. Humanitaryzm to również kierunek XVIII-wiecznej sztuki i literatury. Był on oparty przede wszystkim na idei humanizmu – głosił potęgę ludzi. Za podstawowe zadanie filozofów, naukowców czy artystów uznawano poznanie człowieka i praw nim rządzących. W tym kierunku człowiek był przedstawiany jako gospodarz środowiska naturalnego, a także jako element złożonego ekosystemu Ziemi. Za pierwszy rysunek wykonany w duchu humanitaryzmu, a przede wszystkim humanizmu renesansowego uważa się *Człowieka witruwiańskiego* autorstwa Leonarda da Vinci. To właśnie ten rysunek pokazał, że wysokość dorosłego człowieka równa się w przybliżeniu szerokości jego rozstawionych ramion.

A jak dzisiaj wygląda humanitaryzm? Oprócz zasad, które ustanowione są w najważniejszych podręcznikach prawa, humanitaryzm powoli wymiera. W dzisiejszych czasach humanitaryzm w swoim podstawowym znaczeniu próbują kultywować wolontariusze, którzy pomagają innym w myśl idei oszczędzania cierpień, smutku i żalu. Jednak i ten kierunek stopniowo zanika. Już w 2018 roku idee wolontariatu, które są oparte przede wszystkim na humanitaryzmie, zmieniły się do tego stopnia, że placówki, w których potrzebna jest pomoc, akceptują minimalną zapłatę za wolontariat. A przecież mija się to z celem i założeniami społeczników. Czy w takim razie wolontariusze będą jeszcze istnieć za kilka lat i jaka będzie definicja wolontariatu? Co stanie się z humanitaryzmem – pozostanie niezmienny, oparty na oświeceniowych ideach czy przejdzie przemianę na potrzeby „technologicznego wieku”?

ANNA KAJKO Bawimy się w teatr

*Kiedy rano znów się kładziesz
Zamiast wstawać
Kiedy nie wiesz co masz dawać
Czy oddawać
Kiedy coraz trudniej związać
Koniec z końcem
Jedną radę mam najlepszą
Pod tym słońcem:
Róbmy teatr, gdy nic nie masz do roboty!
Zróbmy teatr, bo to przecież pomysł złoty!
Zamiast co dzień strzelać byki
Gdzieś w słonecznej Andaluzji
Zróbmy teatr – on też pełen jest iluzji.
(z tekstu Marka Wąsika)*

Marcin, Józek, Tomek, Adam i inni uwielbiają te chwile, w których przychodzi im wcielić się w rozmaite postaci podczas prób. Czasami to zatroskany król, dobra wróżka, komiczny inspektor policji, duch bądź zagubiony książę, śpiąca królewna, albo wścibska plotkara, czy też samotny staruszek, którego rodzina już nie potrzebuje... Dzięki tym postaciom z przedstawień mają oni możliwość, wręcz niepowtarzalną okazję, zaistnieć inaczej, być kimś innym, doświadczyć innego losu, poznać coś nowego, pobyć, choć chwilę, w innym świecie niż ten, którego doświadczają na co dzień.

„Teatr na Jedną Chwilę”, bo taką nazwę nosi grupa teatralna działająca w ramach terapii zajęciowej, już od 15 lat istnieje przy Domu Pomocy Społecznej w Grazymach, niedaleko Gietrzwałdu. Chodzi bowiem o to, by zapobiegać bierności i mobilizować do różnych form aktywności dorosłych, niepełnosprawnych intelektualnie mężczyzn – mieszkańców tej placówki.

Metody pracy terapeutycznej są różnorodne, dostosowane do Podopiecznych i ich możliwości intelektualnych. Oni także, jak każdy z nas, szukają u innych uznania, szacunku, akceptacji, a także mają potrzebę poczucia własnej wartości, realizacji własnej osobowości, po prostu chcą być potrzebni, użyteczni. Pragną wcielić się w jakąś postać teatralną, być kimś, kto na to uznanie zasługuje, komu inni będą bić brawo i cieszyć się z tego, że są i są ważni, i że coś dla kogoś znaczą.

Początki były bardzo trudne. W czasie prób panował chaos. Każdy z osobna chciał zaistnieć i wszyscy nawzajem sobie w tym przeszkadzali. Wydawało się niemożliwym nauczenie ich wzajemnego szacunku i dostrzegania siebie, współpracy i wchodzenia w interakcję.



Fot. Anna Kajko

Tocząca się przez 15 minut akcja była dla nich prawdziwym wyzwaniem. Do spektaklu przygotowaliśmy się pół roku. Koledzy w pracy powtarzali mi, że za dużo od nich wymagam, że ich męczę i oczekuję zbyt wiele, przecież oni są niepełnosprawni intelektualnie... Nie mogłam zrezygnować, bo napędzały mnie ich radość i zapał. To oni dopytywali się codziennie, kiedy będzie próba. Traktowali swoje role bardzo poważnie. Pokochali teatr. Niczego nie udawali.

To jest ich „zaczarowany świat”, w który wchodzą autentycznie, na serio. Z czasem prosili, by przedstawienia były dłuższe. Dziś świetnie sobie radzą w spektaklu 40-minutowym.

„Teatr na Jedną Chwilę” ma w swoim repertuarze już ponad 32 spektakle, które prezentował na Przeglądach Twórczości Artystycznej Osób Niepełnosprawnych w Olsztynie, Białymstoku, Suwałkach, Nidzicy, Mrągowie, Łęcznej, na Festiwalu Teatrów Amatorskich w Bartągu, w Instytucie Kultury Chrześcijańskiej w Olsztynie, w Centrum Polsko-Francuskim w Olsztynie. Występował także w Gminnym Ośrodku Kultury w Sząbruku i kilkakrotnie podczas dożynek w Gminnym Ośrodku Kultury w Biesalu.

ANNA KAJKO jest kierownikiem Działu Terapeutycznego Domu Opieki Społecznej w Grazymach, założycielką „Teatru na Jedną Chwilę”, jego reżyserką, autorką dekoracji i scenografii, zajmuje się też realizacją dźwięku i masteringiem, doбира kostiumy, a gdy istnieje taka potrzeba, także je szyje.

MICHAŁ KRAWIEL Galeria Dobro

O czym w Olsztynie się nie rozmawia? O kulturze. No, chyba że zbliżają się wybory, to wtedy wypada kandydatom wrzucić kulturę do programu. Ale tylko trochę, żeby za bardzo nie przesadzić. Bo nie ukrywajmy – ta cała kultura kosztuje. O kulturze w Olsztynie też się nie pisze, bo redaktorzy traktują ten temat jako zapchajdziurę, a dziennikarze często się na tym nie znają.

Do tego pisania wrócę za chwilę, bo zacząć musimy od pewnego miejsca na olsztyńskiej starówce.

Galeria Dobro jest miejscem, którego brakowało mi w Olsztynie bardziej od wegańskich knajp. Przestrzenią twórczą ze świeżym podejściem i z ogromnymi jajami. Galeria jest tak odważna i tak otwarta jak Emilia Konwerska, która od samego początku zarządza tym miejscem.

Problemem olsztyńskich przestrzeni przeznaczonych pod działalność kulturalną jest zachowawczość i zbyt stawianie na autorów związanych z naszym regionem. Fajnie, że nasi mogą się pokazać, ale w moim odczuciu lepiej jest dać możliwość dialogu z pracami artystów z zupełnie inną optyką. Zerwanie z protekcyjnym traktowaniem naszego i nacisk na poznanie innego to jest coś, co wymaga odwagi. Dlatego zamiast zachowawczości mamy Aleksandrę Waliszewską. Zamiast prezentacji poezji olsztyńskich autorów mamy spotkanie z Pawłem Sołtysem. Zamiast olsztyńskiej kapeli mamy koncert Better Person. Można jeść całe życie kotlety z mizerią i być szczęśliwym. Ja to szanuję, ale nie potrafię tak.

W Galerii Dobro Emilia Konwerska wróciła do otwartości Miejskiego Ośrodka Kultury na nowe zjawiska artystyczne, dzięki której zakochałem się w nowej polskiej literaturze na początku studiów. Na początku XXI wieku byłem chyba na każdym możliwym spotkaniu w Spichlerzu, a po nim nachalnie wypychałem się na piwo z autorami, bo chciałem jak najwięcej się dowiedzieć. Wiedziałem, że muszę wchodzić w dialog, żeby sięgnąć po coś niedostępnego wtedy dla mnie. Chodziło o intelektualny ferment i naukę stawiania odpowiednich pytań dotyczących rzeczywistości. To była moja artystyczna inicjacja, która miała ogromny wpływ na moje przyszłe wybory zawodowe.

Teraz, kiedy jestem na spotkaniu w Galerii Dobro, widzę wreszcie mnóstwo młodych osób, które na pewno też szukają czegoś, co pomoże im odnaleźć siebie w dziełach artystów zapraszanych do Olsztyna przez MOK. Odmłodzenie publiki na niezależnych wydarzeniach artystycznych jest czymś, co nie wydarzyło się w Olsztynie od bardzo dawna. Licealiści i studenci na tych spotkaniach stanowią równie dużą grupę co trzydziestoparolatki. Podobnie mamy w przypadku zaproszonych gości – wszystko co najlepsze z roczników 80. i 90. Synergia między ludźmi w swoim prime time.

Obiecałem wrócić do naszych olsztyńskich dziennikarzy rozpieszczonych nijakością wydarzeń artystycznych. Przez nijakość rozumiem wałkowanie tych samych bezpiecznych tematów. I tak to się żyło dziennikarzom – od zapowiedzi do relacji. A tu nagle

przed samymi wyborami wyskoczył penis z orta i wystraszył wrażliwych redaktorów i radnych. Działalność olsztyńskiej galerii stała się tematem ogólnopolskim. No i w tym temacie niechlubną rolę odegrali dziennikarze, którzy nie potrafili poradzić sobie z tym tematem, ponieważ za bardzo o sztuce inaczej niż w formie relacji pisać nie potrafią.

Kiedy w głównym grzbiecie „Gazety Wyborczej” czytałem o tej całej inbie sprowokowanej przez prawicowy portal, regionalne radio i polityków, to starałem sobie przypomnieć, kiedy o olsztyńskim wydarzeniu kulturalnym można było przeczytać coś poza zapowiedzią i relacją. Nie potrafiłem.



Fot. z archiwum MOK

ANITA ROMULEWICZ

Dziecko Leonarda

Wizerunek człowieka witruwiańskiego, nagiego mężczyzny wpisanego w okrąg i kwadrat, znany jest powszechnie niemal na całym świecie. Zakotwiczył się na dobre w popkulturze, śmiało wychodząc poza ramy rozważań natury filozoficznej, światopoglądowej czy estetycznej. Rozpoznawalny na koszulkach, kubkach i torbach niemal automatycznie kojarzony jest z autorem rysunku – Leonardem da Vinci, który w homo ad circulum zwizualizował renesansowe pojmowanie wzoru piękna ludzkiego ciała. To dzięki temu artyście człowiek witruwiański zyskał wzniosły status żywego hołdu boskiej proporcji, stał się dla ludzi odrodzenia ideałem harmonii i symetrii, obrazem jedności człowieka z naturą i wszechświatem, zarówno w skali mikro, jak i makrokosmosu. Współcześnie praca ta doskonale oddaje i materializuje istotę samego humanizmu, racjonalnego sposobu myślenia, które – jak głoszą definicje – „wyraża się troską o potrzeby, szczęście, godność i swobodny rozwój człowieka w jego środowiskach: społecznym i naturalnym”.

Leonardo da Vinci narysował swojego człowieka witruwiańskiego ok. 1492 r. jako studium proporcji ludzkiego ciała. Zafascynowany światem antycznym, jak jemu współcześni, budował nową jakość wiedzy, kultury i sztuki renesansu w oparciu o osiągnięcia świata starożytnego. To wtedy słowo „humanizm” zyskało inny wymiar. Powstało określenie „humanizm renesansowy”, które wyrażało zachwyt nad kulturą klasyczną, umiłowanie dla wzorów antycznych i potrzebę znajomości oraz odrodzenia sztuki, literatury i języków klasycznych. Włoskie XV-wieczne słowo „umanista” oznaczało dosłownie studenta lub nauczyciela literatury klasycznej. Twórcy renesansowi w starożytności szukali i znajdowali nie tylko wiedzę, ale i natchnienie. Inspirował ich dosłownie cały antyczny świat.

Nic więc dziwnego, że Leonardo da Vinci, człowiek o tak rozległych horyzontach i głódzie wiedzy, nie mógł przejść obojętnie obok jednego z największych dzieł okresu starożytności, jakim była słynna *De architectura libris decem* (*O architekturze ksiąg dziesięciore*) autorstwa nie mniej znanego Witruwiusza. Marcus Vitruvius Pollio zapisał się w dziejach jako wielki architekt, inżynier i budowniczy w państwie rzymskim, szczególnie w czasach panowania cesarza Augusta. Jak podkreślają współcześni badacze Witruwiusza – dla średniowiecza i odrodzenia był on symbolem architektury, podobnie jak Orfeusz symbolem poezji, Eskulap – medycyny, Tales – filozofii, Euklides – geometrii. Swoje kilkutomowe dzieło architekt zadedykował samemu cesarzowi. Do dziś jest to jedyny zachowany traktat o architekturze z czasów starożytnych.

Witruwiusz był praktykiem, znał się na mechanice i budowlance. Urodził się ok. 70 r. p.n.e., czyli zawodowo czynny był już za czasów Juliusza Cezara. Sława jednak przyszła później, a jego traktaty na dziesięciolecie stały się wyznacznikiem dobrej, architektonicznej i mechanicznej roboty. Czym zatem były? Przede wszystkim przejrzystym podręcznikiem sztuki architektonicznej, praktycznym i metodycznym. Ponadto syntezą kryteriów estetycznych, opartych na wzorach starożytnych, szczególnie greckich. Publikacja dla współczesnych Witruwiuszowi była solidną bazą do budowania i konstruowania niemal wszystkiego. Już w księdze pierwszej autor zaznacza, że dobry architekt to ten który, „zna się na wszystkim”. Naturalnie nie musi umieć wszystkiego sam wykonać, ale orientacja w temacie jest kluczowa. Jak widać, w starożytności, na długo przed imponującą wszechstronnością Leonarda da Vinci, ceniona była idea „człowieka renesansu”.

Zanim Witruwiusz wyłożył w swojej pracy wiedzę na temat surowców budowlanych, starannie wprowadził czytelnika w kwestie urbanistyki, solidnych fundamentów pod budowle, a nawet w kierunki wiatrów, jakie należy uwzględnić przy budowaniu „zdrowego domu”. Jego zdaniem nie wolno bagatelizować niczego, od dobrego rozplanowania po dekoracje. Toteż w kolejnych traktatach omawia skrupulatnie zasady budowania świątyń w kilku porządkach architektonicznych. Swoją drogą uczy się powszechnie o trzech: doryckim, jońskim i korynckim, Witruwiusz podaje jeszcze attycki i tokański. W księdze piątej pochyła się nad projektami budowli publicznych, m.in. łaźni, więzień, skarbców, portów i doków, a zwłaszcza nad dobrą akustyką teatrów, stadionów i palestr do dysput uczonych. W traktacie szóstym i siódmym, niczym wytrawny dekorator wnętrz, porusza się ze zjawstwem po przestrzeniach prywatnych, zalecając odpowiednie kolory, w tym barwnik purpurowy ze ślimaka morskiego oraz dekoracje, które pomogą stworzyć odpowiedni nastrój lub skutecznie poprawić proporcje. Następnie czas na wodę. Zanim jeszcze o hydraulice i rurach doprowadzających, architekt poucza czytelnika o jakości wody, jej zdatności do kąpieli, picia czy mycia jarzyn, a nawet o zaletach źródeł gorących czy „wody obdarzającej ludzi pięknym głosem”. Gdy już nam się zdaje, że inżynier omówił wszystko co ważne, by wygodnie mieszkać, wprowadza nową dziedzinę, którą, przypomnijmy, dobry architekt musi choć trochę poznać, a mianowicie mechanikę. Stąd w księdze dziewiątej mowa o zegarach i ich budowie, ale, by było porządnie, szerzej pisze o nich w kontekście planet, położenia Księżyca i biegu Słońca przez znaki zodiaku. Nie dziwi to tak bardzo, gdy uwzględnimy, że wywód dotyczy zegarów słonecznych i wodnych. Na koniec, wcale nie skromny, cała gama pożytecznych informacji

o machinach, do których, obok dźwigów i wag, Witruwiusz zalicza też instrumenty muzyczne. Głównie jednak omawia maszyny oblężnicze: skropiony, katapulty, balisty, tarany, żółwie do zasypywania rowów. Słowem, wszystko, co człowiekowi w świecie starożytnym niezbędne do przetrwania.

I tu rodzi się pytanie, co takiego zaintrygowało samego Leonarda da Vinci w traktatach Witruwiusza, że stworzył człowieka wpisanego w koło i kwadrat? Z pewnością do lektury *De architectura libris decem* pchnęła Włocha również silna pasja do konstruowania machin, co fascynacja osiągnięciami klasycznej myśli technicznej. Jednak odpowiedź znajdziemy już w księdze pierwszej, gdzie autor wymienia trzy zasady dobrej budowy: trwałość, celowość i piękno. Budować należy zatem solidnie, z materiałów dobrych, doboranych z uwagą ekonomiczną, ale bez skąpstwa. Sensowny wybór miejsca dla danego typu budynku zapewni ergonomiczne jego wykorzystywanie. Natomiast piękno będzie zapewnione „jeśli wygląd budowli będzie miły i wykwinny, a wymiary poszczególnych członów oparte będą na właściwych zasadach symetrii”. I to właśnie symetria jest wspólnym mianownikiem prac Witruwiusza i Leonarda da Vinci.

Architekt wprowadza czytelnika do traktatu o budowaniu świątyń (w księdze trzeciej) słowami: „Kompozycja świątyń polega na symetrii, której praw architekci ściśle przestrzegać powinni. Symetria rodzi się z proporcji (...). Żadna budowla nie może mieć właściwego układu bez symetrii i dobrych proporcji, które powinny być oparte ściśle na proporcjach ciała dobrze zbudowanego człowieka. Przyroda bowiem w ten sposób stworzyła ciało ludzkie, że...”. I tu autor podaje szczegółowe wyliczenia odległości między poszczególnymi częściami ciała. Następnie dodaje: „Malarze i sławni rzeźbiarze posługiwali się znajomością tych proporcji, zyskując sobie wielką i nieprzemijającą sławę. Podobnie członowie świątyń powinny mieć jak najbardziej odpowiednie proporcje zarówno między swymi poszczególnymi częściami, jak i w stosunku do całej budowli. Centralnym punktem ciała ludzkiego jest z natury rzeczy pępek. Jeśli bowiem położysz człowieka na wznak z wyciągniętymi rękami i nogami i ustawisz jedno ramię cyrkla w miejscu, gdzie jest pępek, zakreśli koło, to obwód tego

koła dotknie końca palców rąk i nóg. I tak jak ciało ludzkie da się ująć w figurę koła, podobnie da się ono ująć w kwadrat (...). Skoro więc przyroda w ten sposób stworzyła ciało ludzkie, że jego członki są proporcjonalne do całej postaci, słuszną wydaje się zasada starożytnych, aby także w budowlach stosunek poszczególnych członów odpowiadał całości (...). Również podstawowe miary, jak cal, piędź, stopa, łokieć, niezbędne przy wszelkiego rodzaju budowlach, zapożyczyli z członków ciała ludzkiego”.

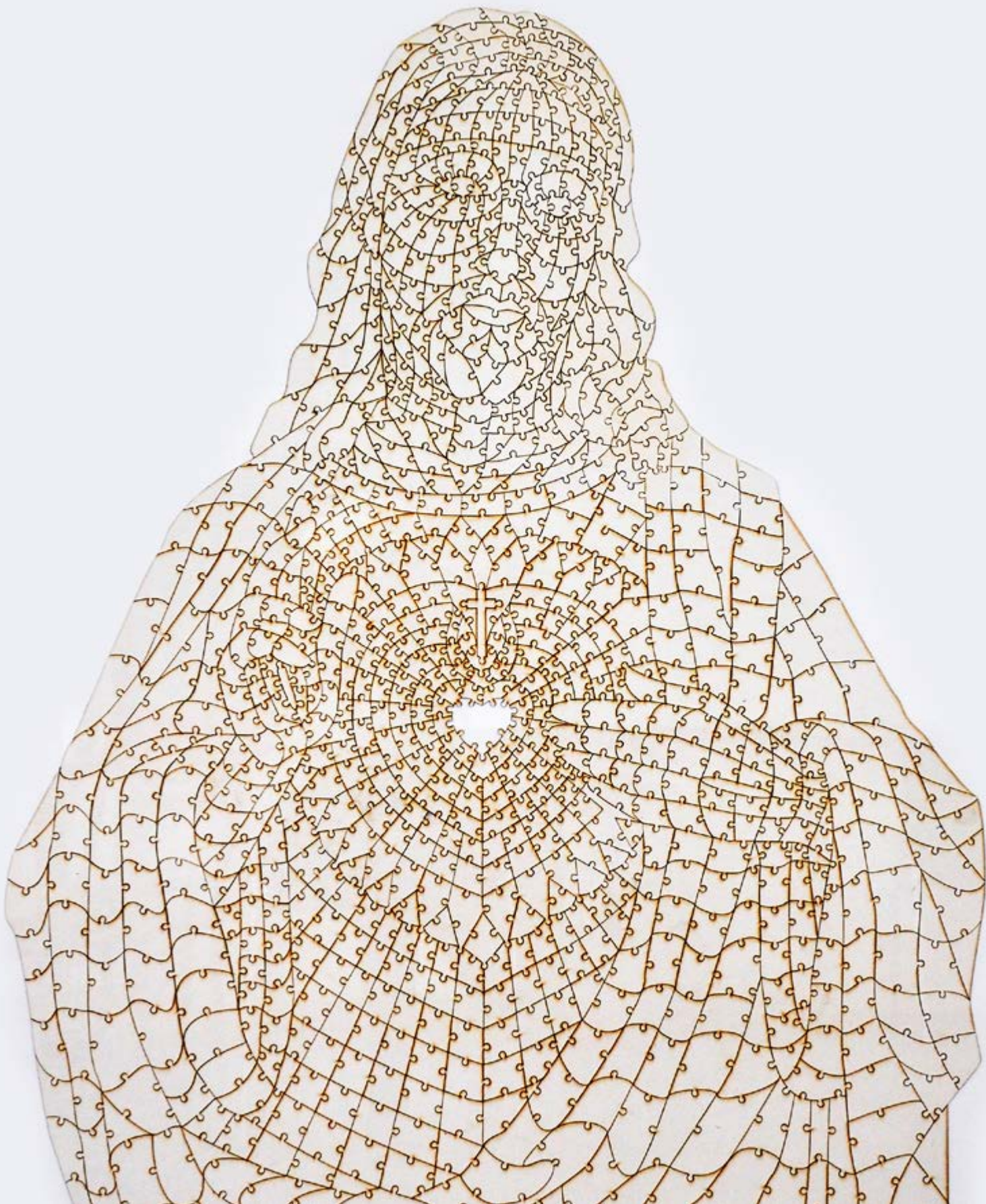
Mężczyznę wpisanego w okrąg i kwadrat stworzył zatem Witruwiusz (ok. 23 r. p.n.e.) i, jak wiadomo z jego prac, wykonał do swojego dzieła stosowne rysunki. Wyobrazenie „człowieka-miary” przepadło jednak wraz z oryginalnymi traktatami, które zaginęły. Współcześnie rozpoznawalny symbol humanizmu zbudowano w oparciu o niedoskonałe, bo wielokrotnie zniekształcone odpisy, pozbawione grafiki, toteż zakładać należy, że pierwotna idea człowieka witruwiańskiego daleka jest od interpretacji, jakie zrodził późniejszy renesans. Nie pomaga w zrozumieniu wizji architekta mnogość i odmiennosc zachowanych w bibliotekach europejskich odpisów *De architectura libris decem*. Jak donoszą badacze – owszem, zachowały się liczne kopie, jak ta w British Museum, jednak nie zawsze udane, bo przede wszystkim „język nie najlepszy”. Już te przepisywane w średniowieczu zawierały błędy, a późniejsze tylko je mnożyły. XV-wieczny rysunek Leonarda da Vinci, który do niedawna uchodził za pierwszą, udokumentowaną próbę plastycznego zapisu pojęcia witruwiańskiej symetrii i proporcji, świat nauki obecnie kwestionuje. Według jednej z hipotez Leonardo da Vinci wzorował się na rysunkach swojego przyjaciela, włoskiego architekta, Giacomo Andrea z Ferrary, dodajmy – autora komentarzy do dzieła Witruwiusza, który wykonał 127 prac do kopii zachowanej w bibliotece w swoim rodzinnym mieście. Nie zmienia jednak to faktu, iż do naszych czasów przetrwał i żyje już swoim życiem człowiek witruwiański – wzór harmonii, kwiat życia, dziecko Leonarda.

Witruwiusz, *O architekturze ksiąg dziesięć*, [z tekstu łacińskiego przełożył Kazimierz Kumaniecki], Warszawa, 1956.

NA TYLNEJ OKŁADCE:

KATARZYNA ŁYSZKOWSKA w swoich pracach sięga do osobistych doświadczeń, indywidualnych biografii i uniwersalnych opowieści. Pozwala to wnikliwiej rozumieć doświadczenie, wpływa na współczesny obraz i antycypuje przyszłość. Zarówno narzędziem, jak i tworzywem jest dla niej papier – materiał delikatny, naturalny, ulegający całościowej degradacji. Symboliczne zastosowanie papieru daje artystce możliwość stworzenia opowieści o ulotności zjawisk i stanów natury ludzkiej. Każda z jej prac to swoisty art-rebus reinterpretujący utarte mechanizmy.

MISSING THE POINT/2018 (papierowe puzzle). Opowieść o zatracaniu sedna ludzkiej natury, często w pogoni za hedonistycznym, bezrefleksyjnym „układaniem puzzli życia”. Praca jest wielowymiarowa, odnoszą się w niej do ikoniznego wizerunku Jezusa, jako symbolicznej osoby pozbawionej atrybutu aureoli. Układanie puzzli staje się tu swoistym rytuałem, prowadzącym do transformacji praktykującego.



MISSING THE POINT (2018) (papierowe puzzle), Katarzyna Tyszkowska